Dodatek do „Gazety Lwowskiej“.

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rok XLII.

Tom XLII. — Zeszyt VI. Czerwiec — 1914.

Odpowiedzialny redaktor: ADAM KRECHOWIECKI.

WE LWOWIE.
Nakładem wydawnictwa „Gazety Lwowskiej“.
Z drukarni Wł. Łozińskiego.
(Zarządca J. Niedopad).
1914.

Treść zeszytu.

Generałowa Sowińska i Klementyna Hoffmanowa

w czasach powstania Listopadowego i po kapitulacyi Warszawy.

Kartka z dziejów „Związku patryotycznego dobroczynności pań polskich“ w latach 1831—1833.

(Ze źródel archiwalnych i rękopiśmiennych.)

Nie trzeba być koniecznie zawodowym miłośnikiem starych szpargałów, pochodzących badź z jakiejś znamiennej w życiu Narodu epoki, lub zawierających w sobie zanotowane ręką wybitniejszych w Narodzie jednostek szczegóły historycznej doniosłości, aby na ich widok, lub też po bliższem ich poznaniu, po odtworzeniu sobie w myśli okoliczności, wśród których dany dokument powstał — duszy każdego czującego czytelnika nie ogarnęła atmosfera wspomnień i nie przeniosła jej na skrzydłach wyobraźni miedzy ludzi dawnych, w sferę wypadków już przebrzmiałych, a jednak zawsze żywych, zawsze tragizmem swym wymownych.

Dla wywołania takich wspomnień i dla pobudzenia wrażliwości uczuć w sercu przygodnego szperacza zbędnem jest bogactwo treści narracyjnej danego szpargału historycznego. Oderwane notatki, a nawet nieraz cyfry rachunkowe stanowią podstawę dla odtworzenia przy ich pomocy — znamiennej w życiu Narodu chwili, dla wskrzeszenia w całej krasie zalet umysłu i serca istot, które ongi wśród nas bytowały i działały, i odczuwały też same tęsknoty i cierpienia, jakie są potomków ich dolą.

Takie to wrażenia i wspomnienia obudziły we mnie dwa rękopisy, w zbiorach biblioteki Hr. Ord. Krasińskich przechowywane, zawierające notatki i cyfry z lat 1831 i 1832, pisane najprzód ręką

Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, a następnie przez Generałowę Sowińską.

Zeszyt pierwszy rękopisu, złożonego z kilkunastu kart szarego, grubego papieru, zawiera dwie rubryki: przychodu i rozchodu. W pierwszej są nazwiska pań głośniejszego ongi i mniej głośnego w społeczeństwie naszem nazwiska, w drugiej zaś, wymienione są nazwiska osób i spraw, dla których rubryka pierwsza ustanowioną została, oraz powód i wielkość udzielonej zapomogi w pieniądzach, lub w naturze.

Zeszyt ów, pisany od początku do końca ręką Klementyny Hoffmanowej, obejmuje przeciąg czasu od 1. stycznia roku 1831, po schyłek miesiąca października tegoż roku.

Przeglądając uważnie rubrykę rozchodu za czas od stycznia 1831 roku, odtwarzamy sobie obraz wypadków kampanii listopadowej, zakończonej 7. września upadkiem oblężonej stolicy. Więc, jeśli w styczniu 1831 znajdujemy pozycye takie, jak n. p. „podchorążemu na wyekwipowanie się“ lub też „za uszycie koszul“, albo „wydatek dla oficera rosyjskiego, który do naszego wojska przeszedł“, to, pod koniec lutego, po bitwie grochowskiej, spotykamy się z licznemi pozycyami w rodzaju: „na ręce opiekunki Sowińskiej na bandaże do lazaretu saperów“, na „wydatki w naszym lazarecie“, „kobiecie wiejskiej, zniszczonej przez wojnę“, „na nasypki do lazaretu saperów“, „za stół akademików i galicyanów“, „kwestarkom na lazaret gwardyi“. W marcu są, między innemi, „chorągiewki dla Lublinianów“, „kapelanowi, idącemu do Dwernickiego“, „strzelcom, idącym na wojnę partyzancką“, „akademikom krakowskim na drogę“, „gorliwemu lekarzowi Czyżowi na aptekę i umundurowanie“, „młodemu Maurokordato na ręce opiekunki Sowińskiej“, „dla koszar gwardyackich“, „żołnierzowi, pod którym konia ubito“, „młodemu Węgrowi, który nas broni“, „na bandaże“, „nieszczęśliwym przez rewolucyę“, „na lazaret Sierakowskich“. W kwietniu: „biednej kobiecie, zniszczonej na „Pradze“, „wdowie po żołnierzu“, „na flanelę na pasy od cholery“. W maju: „matce dla jedynaka żołnierza na trumnę“, „walecznemu żołnierzowi z naszego lazaretu, wracającemu do obozu“, „biednej żołnierce w połogu“, „na miętę i słoninę do lazaretu gwardyackiego“, „zacnemu wojskowemu“. W czerwcu: „na szarpie od biednej żołnierki“, „choremu i dobrze zaleconemu podoficerowi“, „matce porucznika, zabitego pod Ostrołęką“, „poczciwemu chirurgowi Marmurkowi“, „dzieciom doktora Reich“. W lipcu: „oficerowi z korpusu Dwernickiego“, „wdowie po Poznańczyku“, „Klimaszewskiemu bez ręki“,

„miastu Chęcinom“. „bezimiennemu rycerzowi“, „na chorągiewki dla Wołyniaków“, „na umundurowanie zacnego młodzieńca“, „komitetowi wsparcia włościan“, „biednej matce poległego oficera Radońskiego“, „dwom wojskowym lekarzom“. W sierpniu: „dla korpusu Dembińskiego“, „dowódzcy strzelców Kamińskiemu“. We wrześniu: „na zupę rumfordzką“, na lazarety: gwardyacki, Krasińskich, oficerski“, „wojskowym, idącym w drogę“, „wydatki na jeńców“, „żołnierzowi. który obie nogi stracił“, „cukru burakowego do lazaretów“, „dla wracających Galicyanów“, „do składki dla Litwinów“, „nieszczęśliwej i znakomitej osobie“, „na zamówienie portretu sławnej pamięci jenerała Sowińskiego“ etc. etc.

Od października zmienia się natura wydatków. lecz ich ciągłość nie ustaje. Czytamy między innemi pozycye: „zniszczonej wiejskiej obywatelce“, „na ubiór i drogę oficerowi“, „dla nieszczęśliwych na ręce X. Benjamina“, „Za dwanaście egzemplarzy portretu drogiej nam pamięci“, „bardzo potrzebnemu akademikowi“ etc.

* * *

Z dniem 18. października 1831 rozpoczyna się zeszyt drugi, z kilkunastu kart złożony, niewątpliwie, sądząc z porównania charakteru pisma, ręką generałowej Sowińskiej wypełniony.

Zeszyt ten nie zawiera już rubryk cyfrowych, jak zeszyt pierwszy. Natomiast obejmuje protokoły posiedzeń Komitetu dobroczynnego pań polskich, który, pomimo nieszczęsnego epilogu powstania, nie zaprzestał działalności swej w sprawie miłosierdzia i pomocy biednym żołnierzom. wdowom i sierotom i prowadził ją do czasu. aż, gdy po wykryciu spisku, władze rosyjskie, objąwszy ponownie ster rządów, rozwinęły śledztwo w celu pociągnięcia uczestniczek Komitetu do odpowiedzialności. według praw stanu wojennego.

Ta nowa faza w krótkotrwałych dziejach Komitetu ratunkowego jest przedmiotem akt urzędowych w archiwum generał-gubernatora wojennego z czasów owych pozostałych, stanowiących historyczne niniejszej sprawy uzupełnienie. Są one w pracy niniejszej w swojem miejscu zużytkowane, jako przyczynek do charakterystyki generałowej Sowińskiej. która po utracie walecznego męża swego, oddała się w zupełności usługom biednych i opuszczonych, jedynej osłody, jaka już jej pozostała w życiu.

* * *

O istnieniu i działalności Komitetu pań polskich podczas kampanii listopadowej i po jej ukończeniu, głuche jak dotąd w tradycyi potomków ówczesnego pokolenia krążyły wieści. Z okolicznościowych wzmianek, podanych w Pamiętnikach Klementyny z Tańskich Hoffmanowej (tomów 3. Berlin, u Behra r. 1849) wiedzieliśmy tylko o funkcyonowaniu lazaretów wojskowych w Warszawie, pod opieką dam z towarzystwa i o udziale w tej dobroczynnej akcyi samej autorki „Pamiętników".

W grudniu r. 1830 pisze Hoffmanowa:

„Długo, bardzo długo w tym roku nie śmiałam własnego używać szczęścia: skrupuł być wesołą, cenić jeszcze życie, w którem ani matki, ani siostry ukochanej nie mam; wymawiałam sobie, że mąż tak opanował serce i jestestwo moje, że za wszystkich uszczęśliwić mnie może; te mimowolne wyrzuty przerwała rewolucya nasza. Już teraz ani podobna innych myśli, innych mieć niespokojności, tylko o kraj, o rodaków. Osobiste widoki są zupełnie uboczne. Ojczyzna dziś wszystkich uczuć przedmiotem, ile że. jak ten chory, który co chwila może albo wyzdrowieć, albo umrzeć, potrzebuje troskliwości i starania wszystkich dzieci swoich".

Wydawca pamiętnika zaznacza, (str. 176). że 29. grudnia 1830, a więc w miesiąc po nocy listopadowej, damy warszawskie. idąc za wskazówką Hoffmanowej, zaczęły się zajmować służbą po lazaretach.

Pierwszą wzmiankę o tej służbie znajdujemy pod datą 1. marca 1831 r. po bitwie grochowskiej, w słowach:

„W naszym lazarecie chłopczyk czternastoletni zniósł z największem męstwem ucięcie nogi, mówiąc do lekarzy: „żeby to tylko na co się przydało". Nieborak umarł nazajutrz".

„W liczbie kobiet, które, czem mogą poświęcają się dla Ojczyzny, godną wspomnienia Emilia Szcz.(aniecka) z Wielkopolski. Pani swego majątku, bez rodziców, za pierwszym odgłosem naszego powstania umyśliła i majątek swój i siebie usłudze kraju poświęcić. 90 tysięcy złotych złożyła w ofierze, a sama oddała się zupełnie służbie w lazarecie. Zajmuje się szczególnie lazaretem za Wolskiemi rogatkami, a nie zważając na słabe zdrowie, nietylko w dzień, ale i w nocy nad chorymi czuwa. Szczęśliwą i wielką powinna być kraina, która takie ma dzieci".

Pod datą 11. sierpnia 1831 r. czytamy:

„Związek nasz idzie doskonale. Tysiąc złotych daliśmy teraz korpusowi Dembińskiego, bo wielu obdartych i potrzebnych. Teraz zbieramy na szkółkę dla sierot po poległych".

26. sierpnia: „Wczoraj u mnie odbyła się wielka loterya na rzecz lazaretów. Miałam dużo kłopotu, ale razem i radości, że niemało pieniędzy do kasy wpłynęło. Kobiet było co niemiara, a między niemi — naczelna wodzowa".

Nie opuściła Hoffmanowa swej służby samarytańskiej nawet po katastrofie ostatecznej. Opisując zgon generała Sowińskiego, który, zamknąwszy się w kościółku wolskim, stojąc na szczudle, dwóch szpadą ranił, dwóch z pistoletu położył, pardonu przyjąć nie chciał i zginął jak bohater z bagnetem w ręku, nadmienia: „Dochodzić mnie zaczęły wieści, że o naszych rannych nie myślą. Biegam więc, krzątam się, jak mogę. Byłam już w dwóch lazaretach i pójdę choćby do samego Paskiewicza, jeśli tego będzie potrzeba".

16. września: „Kobiety nasze zawsze dają piękny przykład. Odwiedzają rannych, zbierają składki".

22. września: „Złożono mi pieniądze, uzbierane na lazarety nasze w Frankfurcie. Dałam na nie kwit i będę się starała posłać je do Modlina Niemojowskiemu, bo tam teraz nadzieje nasze".

24. września: „Pokrzepiają serce moje — kobiety, które prawdziwie godnemi nazwiska Polek się okazują. Stronią od wszelkich przechadzek, zabaw, zgromadzeń. Na ulicy nie spotkasz żadnej ubranej ze staraniem i spotkasz ich bardzo mało. Nad chorymi, nad jeńcami najtroskliwszą mają opiekę. Jedna pani Żdżarska bardzo się zajmuje jeńcami, będącymi na Pradze. Idąc raz do nich, dla błota weszła na wierzch okopów. Żołnierz, będący na warcie, chciał ją z nich strącić słowem: nie wolno!" „Jakto nie wolno? zawołała. Te okopy, my Polki, usypałyśmy naszemi rękoma, to nasze?" „Żołnierz czy się przeląkł, czy nie zrozumiał, dosyć, że powiedział: *stupaj!* Taż sama rozdawała jedzenie jeńcom. Pozwalają na to Rosyanie, ale jednak niechętnie patrzą".

Ciągną się notatki pamiętnika Hoffmanowej z czasów jej pobytu w Warszawie do 14. października 1831, w którym znajdujemy wzmiankę: „Dziś w piątek o godzinie 4 z południa, przy najczulszych pożegnaniach rodziny i przyjaciół, wyjechałam z Warszawy za paszportem, przez fortel otrzymanym. Bogu, dzięki, przebyłam wszystko szczęśliwie".

* *
*

Po takich urywkowych śladach działalności inicyatorki Komitetu dobroczynnego z czasów listopadowych, należy zwrócić się

do cennego rękopisu, nigdzie dotąd nie spożytkowanego. i na jego podstawie odtworzyć obraz czynności Polek-obywatelek, które za jej przewodem, nie idąc za radą pani Kunegundy Białopiotrowiczowej, co to po dziennikach rozpisywała się w roku 1831 o konieczności utworzenia korpusu amazonek walczących, uznały za godne płci swej i roli, jaką kobieta pełnić winna w rodzinie i w społeczeństwie, podjęcie zadania opiekunek nad biednymi i opuszczonymi, nad cierpiącymi niedostatek w domu i męki kalectwa po lazaretach, w przełomowej losów Ojczyzny epoce.

W skromnych słowach opowiada Klementyna Hoffmanowa zaczątki związku pań polskich. ustanowionego w dniu 29. grudnia 1830 r. i prowadzonego przez nią do chwili opuszczenia Warszawy, i przekazanego następnie troskliwości generałowej Sowińskiej.

Zanim wszakże wnikniemy w dzieło samo i jego rezultaty. godzi się w paru słowach przypomnieć duchowe rysy owych dwóch niewiast, zapisanych nieśmiertelną pamięcią w sercach pokoleń im współczesnych i potomności.

Wymienić nazwisko Klementyny z Tańskich Hoffmanowej — owego — nietylko z gniazda swego urodzenia, lecz ze swych umiłowań serdecznych Narodu, jego przeszłości, jego doli, jego pamiątek i jego przyszłości — istotnego dziecięcia Starego Miasta (urodziła się w kamienicy Nr. 59 „pod Fortuną“ na Starem Mieście) — jest to odtworzyć sobie w duszy postać kobiety-anioła, postać niewiasty-obywatelki, górującej umysłem i sercem wśród inteligencyi warszawskiej, nietylko czasów ubiegłych. lecz nawet czasów obecnych. Zarówno jako autorka powieści tak głośnych i wpływowych, jak były niemi: „Jan z Czarnolasu“, „Krystyna“, „Karolina“, „Pamiątka po dobrej matce“, jakoteż jako redaktorka „Rozrywek dla młodocianego wieku“, jako kuratorka zakładów naukowych żeńskich: na każdym stanowisku wyróżniała się pani Klementyna niepospolitym umysłem i dążnościami. skierowanemi ku podniesieniu poziomu duchowego i misyi patryotycznej i społecznej kobiety polskiej do wyżyn ofiarności, do poświęceń dla dobra współziomków.

Dostojeństwo umysłowe pani Klementyny jednało jej czcicieli nietylko wśród niewiast polskich. Stało się ono nawet pobudką ze strony przodowniczych w Narodzie mężów do starań o zaliczenie jej —jako najwybitniejszej w Narodzie kobiety — w poczet członków Towarzystwa przyjaciół nauk, a tylko niepokonany jeszcze podówczas przesąd, iż kobieta. jako kobieta —

do uczoności jakoby tytułu i prawa mieć nie może, usiłowaniom owym stanął na przeszkodzie, z uszczerbkiem sprawy równouprawnienia niewiast w dziedzinie umysłowych aspiracyj.

Świadectwem głębokości umysłu Hoffmanowej i jej trzeźwego poglądu na sprawy krajowe w burzliwej epoce dziejów naszych są myśli, zanotowane w pamiętniku jej z czasów. gdy zdawać by się mogło, iż oddana sprawie pomocy walczącym i ich rodzinom. podzielała w zupełności entuzyazm młodzieży. która, nieopatrznie, bez widoków pomyślnego skutku. jedynie idąc za przykładem lipcowej rewolucyi we Francyi i ruchu narodowego w Belgii, rzuciła rękawicę potężniejszemu od siebie przeciwnikowi, i, wśród najfatalniejszej pory roku, nie spodziewając się znikąd pomocy, podniosła chorągiew powstania listopadowego.

Zestawiając myśli i uwagi owej niewiasty, subtelnej i wrażliwiej na wszystko, co szczytne i szlachetne. a więc i do entuzyazmu skłonnej, a mimo to rozważnej i zrównoważonej w sądach o losach kraju i o nieszczesnym ich obrocie, z sądami i refleksyami publicystów najgłośniejszych jej epoki, widzimy, że myśli Hoffmanowej górowały trafnością i zrozumieniem istotnego położenia rzeczy, nad dorywczemi, namiętnością i szlachetnem zaślepieniem kierowanemi aspiracyami prowodyrów ruchu. Ten jednak rozum polityczny Hoffmanowej nie powstrzymał jej od czynu, z powołaniem kobiety czułej na nieszczęścia bliźnich zgodnego. Owszem, stał się nawet bodźcem do podjęcia zadania niezmiernie ważnego i do wciągnięcia zadania niezmiernie ważnego i do wciągnięcia do udziału najwybitniejszych w towarzystwie warszawskiem kobiet.

Zatrzymajmy się na chwilę nad politycznem ówczesnem wyznaniu wiary pani Klementyny.

„...Dumałam wczoraj — pisała po kapitulacyi stolicy — a raczej dziś w nocy, spać nie mogąc, dlaczego nasza rewolucya się nie powiodła. i muszę tu napisać owoc uwag moich... Rewolucya nasza była w myśli, w sercu oświeceńszych, ale nie była myślą narodu, a raczej pospólstwa i ludu wiejskiego. Rewolucya nasza nie była zmową znakomitych, bo mało kto o niej wiedział. Rewolucya nasza nie była nawet buntem wojska, bo kilkudziesięciu oficerów i podchorążych nie stanowią wojska. Rewolucya więc nasza była czynem wielkim, śmiałym, ale prawie szalonym... Powodzenie swoje w stolicy winna była jedynie zdumieniu, uwielbieniu, przemocy, jakie czyny nagłe, śmiałe zwykły w ludziach obudzać...

„Zapaleńcy, którzy nic nie działali i działać nie umieli, pisali tylko rewolucyjnie; zimni, rozsądni, rzecz całą prowadzili i cokolwiek pierwsi wykrzyczeli rewolucyjnego na drugich, to już zawsze było niewczas. Stąd powstała niezgodność w zdaniach i czynnościach, stąd postępowanie nietrafne, bez taktu, stąd nareszcie rozdwojenie, którego użyto na przyśpieszenie zguby naszej. Trzeba nam było w rządzie człowieka z rewolucyjną chęcią Lelewela, z głową Lubeckiego, z Czartoryskiego imieniem i sercem. Trzeba nam było w wojsku człowieka z żądzą niepodległości Wysockiego, z talentem i sławą Chłopickiego. Trzeba nam było posłów z nienawiścią... Niemojewskich, z rozsądkiem Świdzińskiego. Ale na nieszczęście rewolucya nasza jednego nie znalazła, nie utworzyła wielkiego człowieka. Było cnót, zdań światłych, czynów pięknych, wiele, ale rozrzuconych, te, jak owe strzały indyjskiego ojca, żadnego nie przyniosły pożytku. Ja pewna jestem, że nawet zupełnego porozumienia nie było, ani między sejmującymi, ani między kierującymi wojskiem; że nie znalazłby trzech, którzyby powiedzieć umieli, czego chcą i jaki ich cel. Przecież zgoda na ten cel była konieczna, należało wiedzieć, czy żądamy niepodległości, czy tylko pewnych koncesyj i układów. Tymczasem żądza niepodległości była tylko w odgrażaniach się w pismach, a koncesye i układy w sercach i głowach bardzo wielu. Jakże tu dobrze pójść miało? Robiono jeden krok w lewo, drugi w prawo, jeden naprzód, drugi w tył, trudno było zajść daleko. Rewolucya nasza była jak owo przejście przez rzekę, w której już lody pękają. Śmiały, śpiesznie i prosto idący przejdzie, a raczej przeskoczy; wątpliwy, mierzący kroki, oglądający się w tę i w ową stronę, najczęściej zatonie. Zgubiło nas, że nie ci prowadzili rewolucyę, którzy ją poczęli, a raczej, że ci, którzy ją poczęli, nie byli w stanie prowadzić; krzyczeli tylko i krzyczeli, sami nic nie pomogli, owszem, zaszkodzili...“

* * *

Obok Hoffmanowej w dziele miłosierdzia i pomocy rodakom stanęła druga, niepospolitego umysłu i uczuć szlachetnych niewiasta — generałowa Katarzyna Sowińska.

Znała ją już oddawna Warszawa, jako anioła opiekuńczego nieszczęśliwych. Zaliczała ją do sióstr miłosierdzia, nie z zawodu, lecz ze skłonności serca. Czciła ją na równi z pobratymczymi duchami innych, pełnych poświęcenia dla spraw ogółu, kobiet. Atmosfera polska, tak podatna do asymilowania żywiołów napozór

obcych, wywarła już wcześnie wpływ swój przemożny na przekonania i sposób myślenia Sowińskiej, która, będąc pochodzenia niemieckiego i wyznania ewangelickiego, czuła się przedewszystkiem — Polką. Ojciec jej, Jerzy Antoni Schröder, był z urodzenia Hanowerczykiem, powołanym z Gdańska do służby rządowej w Królestwie, w Komisyi menniczej dopiero w roku 1765. Pierwszym mężem Katarzyny Schröderowej był również niemiec, Karol Jonas, radca Rejencyi pruskiej. Zdawałoby się więc, że wpływy otoczenia i kultura cudzoziemska winny były pozostawić w duszy i w umyśle dziewczęcia jakieś specyficzne cechy, jeśli nie obcości zupełnej, to przynajmniej względnej obojętności na losy przybranej Ojczyzny.

Być może, iż takby się stało, jeśliby okoliczności przyjazne nie pozwoliły młodej wdowie spotkać ponownie na drodze życia, poznać i pokochać dzielnego kapitana — Józefa Sowińskiego. Jako uczeń korpusu kadetów, już podczas ruch 1794 r. odznaczył się Sowiński dzielnością, gdy zaś rozbiór kraju włączył go do szeregów pruskich, pozostawał tam aż do traktatu Tylżyckiego. W surowej szkole pruskiej przystosował się, jako i jego towarzysz broni, Henryk Dąbrowski, do hartu i obowiązkowości, by te zalety zużytkować następnie w służbie Księstwa Warszawskiego i bić się zapamiętale, w r. 1812, aż do utraty nogi pod Możajskiem i utraty wolności — jako jeniec rosyjski.

Po utworzeniu Królestwa został Sowiński komendantem szkoły aplikacyjnej, gdzie zaskarbił sobie szacunek i przywiązanie wychowańców.

Podczas powstania 1830 r., nie wierząc w jego powodzenie, zajął Sowiński posterunek ważny, jako szef sztabu artyleryi, a w końcu, jako dowódzca fortu najbardziej wysuniętego w trzeciej linii obronnej Woli.

* * *

Jeszcze się nie rozpoczęła kampania orężna, do której dyktator Chłopicki, znaglony opinią podnieconej wojowniczo stolicy, energicznie zaczął czynić przygotowania, gdy wśród szczupłego koła obywatelek-działaczek warszawskich powstała myśl utworzenia *związku dobroczynności patryotycznej*, w celu świadczenia pomocy walczącym, oraz ofiarom wojny po lazaretach, ich wdowom, sierotom, i wogóle wszystkim nieszczęśliwym, liczniejszym w czasach ruchu narodowego, niż zazwyczaj.

Zaczątki owego związku opowiada nam Klementyna Hoffmanowa w rodzaju przedwstępnego słowa do „wielkiej księgi“ ofiar, jakie ze strony społeczeństwa do skarbony kwestarek na cel powyższy spłynąć i niezatarte po sobie ślady we wdzięczności współczesnych i w pamięci potomnych pozostawić miały.

„W pamiętnych czasach odrodzenia Polski — tak rozpoczyna wstępną kartę księgi ofiar Klementyna Hoffmanowa — nie było serca polskiego, któreby nie czuło się przejętem chęcią należenia choć w drobnej cząstce do wspólnej pracy i ofiar. Niejedna kobieta przyznawała wtedy z pewnym żalem, że do podrzędnej i mniej znaczącej połowy rodu ludzkiego należy, i zazdrościła mężczyznom. W takiem ogólnem dobrze myślących usposobieniu. kiedy w dniu 21, grudnia 1830 r. w małem towarzystwie pani Amelia Wulfers przypomniała związki patryotyczne kobiet w Prusiech za wojen francuskich, znane pod nazwiskiem Frauenvereine, i rzuciła myśl, żeby podobne tworzyć u nas, ten jej piękny pomysł skwapliwie był uchwycony, a gdy przytomne osoby jednozgodnie mnie zaszczyciły naczelnictwem jego, zajęłam się natychmiast napisaniem stosownej odezwy, a po naradach nakreśliłam i ustawy związku. W dniu 29. grudnia już było opiekunek czynnych pięć, prócz mnie Naczelnej, napisany stosowny artykuł do gazet i uchwalono, ażeby od tego dnia na pamiątkę 29 listopada, byt Związku rachować, a od dnia 1. stycznia 1831 r. rozpocząć czynności jego. Ustawy Związku i cel, tu, jako w wielkiej księdze jego, dla porządku wypisuję.

Ustawa Związku dobroczynności patryotycznej po domach.

Chcąc, ile możności jest naszej, czynić spółrodakom dobrego, pomagać im i ulgę przynosić, w tak ważnych i trudnych okolicznościach, my, pięć opiekunek, stanowimy Związek dobroczynności patryotycznej, do którego, gdy się trafią, i więcej przybrać pań zamierzamy. Celem tego Związku jest jednoczyć wszystkie usiłowania w tym celu, żeby czynić jak najwięcej dobrego tym osobom, które nieuchronne wypadki wypadki chwalebnej Rewolucyi naszej, stawiły lub stawią w potrzebie, bądź wsparcia, bądź opieki. To dobre będzie udzielane w sposób, jaki okoliczności podadzą: dołożyć się do umundurowania ubogiego ochotnika, zapomagać idących do walki rycerzy w koszule, skarpetki i inną bie-

liznę, w szarpie, bandaże, kompresy i t. p. rzeczy; później mieć bliższe staranie o znanych sobie żonach i dzieciach pozostałych żołnierzy, obdarzać szpitale, doglądać chorych, rannych, słowem, spełniać wszelkie uczynki miłosierdzia, do jakich tylko sposobność się zdarzy. Ponieważ takowe uczynki, do których pieniędzy i starań wiele potrzeba, nie mogłyby przez kilka tylko osób dokładnie być spełniane, zamierzamy przybierać do naszego Związku jak najwięcej tak zwanych Towarzyszek, ażeby zebrać więcej serc ochoczych do czynienia dobrze, a wreszcie więcej stosunków i znajomości. Źródła bowiem główne przychodów Związku będą w składkach miesięcznych, nie mniejszych nad sześć złotych, w robotach ręcznych, w loteryach na fanty i w darach, które się uda otrzymać od osób obcych. Największa zaś nadzieja jego powodzenia i rękojmia dobrego, jakie ten Związek ma na celu, jest: w gorliwości, jedności, dobrych chęciach, wytrwaniu Opiekunek i dzielnej Towarzyszek pomocy. Dla nadania powagi tej Ustawie kładą się podpisy pięciu Opiekunek-Założycielek.

Pisano w Warszawie
d. 29. grudnia 1830.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.
Opiekunka naczelna.

Amelia Wulfers. Anna Suchodolska.
Katarzyna Sowińska. Alexandra Tarczewska.
Opiekunki czynne.

W dalszym ciągu dopisano:

„Stosownie do Ustawy naszej, która pozwala więcej Opiekunek przybierać, zapisują się tu te, które przejęte gorliwą chęcią czynienia dobrze, zapragnęły należeć do naszego grona. Następują podpisy: Barbara Mile, Balbina Turska, Antonina Ośmiałowska, Józefa Ostrowska, Julia Muchnowska, Józefa Ragoczy, Ewa Łabędzka, Benigna Małachowska, Aleksandra Orsetti.

NB. Przyjmujemy także i Opiekunki korespodentki. Taka jest: Konstancya Wodzińska w Kutnowskiem, Leonora Wodzicka w Krakowie.

* * *

Następne karty „wielkiej księgi“ zawierają wykaz „zmówionych“ do Związku towarzyszek. oraz naturę ofiar w kosztownościach. pieniądzach i rozmaitych przedmiotach, wśród pań warszawskich zebranych. Możeby nie było obojętnem podać tu z imion i nazwisk zastęp owych ofiarodawczyń, z których niejedna. jeżeli nie z własnych czynności obywatelskich, to z udziału mężów swych — o ile były zamężnemi — lub z udziału ich ojców, lub braci, w służbie publicznej, znane były zaszczytnie w towarzystwie warszawskiem. Lecz nietyle wymowne są nazwiska, ile natura darów na ołtarzu miłosierdzia obywatelskiego przez nie złożonych. O tych słów parę przytoczyć się godzi. Na pierwszem miejscu mieszczą się dary, być może mniej wartościowe, lecz cenne ze względu na *praetium affectionis*, jakie przedstawiały.

W celu wykupienia takich przedmiotów. będących pamiątkami rodzinnemi i przeznaczenia następnie funduszu z wykupna na potrzeby Związku złożyły: Konstancya Wodzińska — dukat ślubny, Klementyna Hoffmanowa — dukat ślubny, Aleksandra Tarczewska — dwa dukaty, Anna Suchodolska — pierścień z antykiem, Józefa Ostrowska — piękny pierścień złoty, Benigna Małachowska — ślubną obrączkę. Antonina Czempińska — dukat ślubny, Józefa Szyrmina — dukat ślubny, Antonina Ośmiałowska „w braku ślubnej obrączki — piękny pierścionek z turkusem“, Ewa Łabędzka zamiast obrączki — złp. 20, Józefa Ragoczy — również 20 złp., Kostyał — dukat, Juszkiewicz — ślubną obrączkę, Barthel — ślubną obrączkę, Englert — „w miejscu obrączki dwa kolczyki i dwie klamerki złote“. Joanna Maszewska — „w braku ślubnej. szeroką złotą obrączkę“, Żarnowska — zamiast obrączki 20 złp., Kulczycka — dwie ślubne obrączki. Joanna Horn — „w miejscu obrączki dwie łyżki srebrne“, Julia Wierzbołowiczowa — pierścień złoty z antykiem, Szefer — zamiast obrączki 20 złp., Anastazya Woyszycka — ślubną obrączkę, Kozłowska — ślubną obrączkę. Zabielska — ślubną obrączkę. Bojarska — ślubną obrączkę, Józefa Dyzmańska — „w braku obrączki medal złoty, wartujący 8 dukatów“, Lebrun — na wykup obrączki 20 złp., Seydel — ślubną obrączkę, Łapińska — dukat ślubny, — Owidzka — dukat ślubny, Mentzel — łyżkę srebrną i pierścionek ze szmaragdami, Amelia Wulfers — własną i męża obrączkę ślubną. Zofia Kuczewska — obrączkę ślubną. Balbina Turska — dukat ślubny, Katarzyna Sowińska — na wykup obrączki dukata, państwo Wyszyńscy — dwie ślubne obrączki.

Związek wprowadził bezwiednie stosowany za czasów naszych w sprawach kwesty dobroczynnej systemat *boule de neige*, przy którego pomocy każda z towarzyszek starała się jednać między swoją rodzią i znajomymi nowych związkowców i tym sposobem zakres działalności dobroczynnej Komitetu zwiększał się stopniowo.

Każda z towarzyszek miała swoją stronicę porubrykowaną *percepty* i *expensy*, gdzie notowano ofiary i wydatki dobroczynne. Baczne na zwiększenie przychodu, opodatkowały niektóre towarzyszki członków rodziny, uprawiających — nawet w tak groźnej chwili — grę karcianą „wiska"..., jakkolwiek przypuścić się godzi, że grę taką uprawiali jedynie starcy, których rola czynna w życiu już się skończyła...

Ci, którym Związek udzielał stale zapomogi miesięcznej, zwali się „Pensyonaryuszami". Niewielkie to były zapomogi, gdyż wahały się między 40 a 15 złotemi miesięcznie, lecz i one były niewątpliwie dobrodziejstwem dla biedaków, jeśli się zważy na objaśnienia, dodane do niektórych z ich nazwisk, wyszczególnionych po upływie kilku miesięcy od rozpoczęcia działań Związku. Wymieniam tu niektóre z nich: Pani Górska, matka majora Kwiatkowskiego złp. 15 miesięcznie. P. Moszyńska, „ślepa, zubożała przez rewolucyę, bo dobrodziejów utraciła" złp. 15. Jarecki, „stary metr od muzyki, bardzo poczciwy, zupełnie pozbawiony lekcyj, a zatem i chleba" 30 złp. Franciszka Szydłowska, „stara i niedołężna, której męża zabito w nocy 29. listopada" 15 złp. Jakóbski porucznik, „któremu żona przy 5-em dziecięciu teraz umarła, na mamkę" 30 złp. Pani Schlesinger, „żona oficera, bardzo uboga i poczciwa, matka kilkorga dzieci" 20 złp. Pani Mianowska, „kapitanowa, wdowa, matka czworga drobnych dzieci, bez żadnego sposobu, a nawet bez nadziei znacznej pensyi, bo mąż umarł w obozie na cholerę, nie na polu bitwy" 30 złp. Pani Sulikowska, „opiekunka czworga dzieci po siostrze swojej, które to sieroty, lubo ojca mają w służbie rosyjskiej, godne są opieki, ponieważ ten ojciec, doktór Reych, opiekunem był i dobroczyńcą naszych więźniów w Górze: Łukasińskiego, Bobrzyckiego i i innych" 40 złp. Pani Kopczyńska, „bardzo uboga kobieta w wieku" 15 złp. Pani Halińska, „matka kapitana Mirosławskiego" 6 złp. Pani Landowicz „90-letnia kobieta, która z dobroczynności pobierała pensyę, a teraz jej odebrano" 5 złp. Pani Oleszczyńska, „zniszczona zupełnie w Kazimierzu, dziś ciężarem synowi ubogiemu będąca" 20 złp. Julia Leopold, „ślepa, przez rewolucyę dobroczyńców pozbawiona" 5 złp. Kiewliczowa, „dawniej utrzymywana przez Towarzystwo Dobro-

czynności, dziś bez sposobu do życia" 20 złp. Arczyński, „ofiara rewolucyi i cholery" złp. 20. Szornelowa, „krewna nieszczęsnego Krzyżanowskiego, w największej nędzy" 20 złp. i t. d.

W liczbie charakterystycznych pozycyj dochodu ze sprzedaży rozmaitych przedmiotów figurują n. p. pozycye „ze sprzedaży bil„ (piłek bilardowych) i „polskich tańców", świadczące, że i w owych burzliwych czasach byli amatorowie do kupna owych symbolów wesołości i rozrywek.

Alexander Kraushar.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O zapomnianych pismach Asnyka

nieobjętych żadnem z wydań zbiorowych.

Przyczynek do dziejów twórczości El...y'ego,

Ciąg dalszy.

Jakąkolwiek była ta symboliczna „gwiazdka", której panna „pragnęła skrycie" i na którą „nie chciała czekać już dłużej", jedno nie ulegało wątpliwości, że poeta zaczynał być coraz lepszej myśli, że chwilami stawał się przystępny złudzeniom i nadziei. Zapominał niekiedy, że niebezpiecznie jest budować na pozorach, że co innego są dobre stosunki na tle „wodnej znajomości" w sezonie, a co innego budowanie na nich przyszłości... Zapominał o przysłowiowych zamkach na lodzie...

W końcu w swym optymiźmie zaszedł tak daleko, że postanowił zdobyć się na czyn heroiczny: oświadczyć się. Zapomniał o swych O ś w i a d c z y n a c h, a przynajmniej pamiętał o nich nie dosyć. Że jednak nie był pewnym siebie, że znał swoją nieśmiałość, więc zdecydował się oświadczyć nie ustnie, lecz listownie.

W tej myśli, d. 27. sierpnia, gdy już zbliżał się koniec sezonu, napisał obszerny list do pani Grudzińskiej, list, w którym ją otwarcie wtajemniczył w swe uczucia dla panny Anieli. Zaryzykował!

List brzmiał, jak następuje:

Krynica, 27. sierpnia 1870 r.

Szanowna Pani!

Jakkolwiek wydać się może niedelikatnością z mej strony rozpisywanie się w przedmiocie drażliwym, jednakże muszę się na-

razić na ten zarzut, bo nie mam tyle hartu, żeby żegnając panie prawdopodobnie na zawsze, nie wypowiedzieć tego wszystkiego, co leży na dnie duszy, tłumione a przecież niezwyciężone.

Uciekam się do listownej explikacyi, a to dlatego, że w ustnej rozmowie zmięszanie i wzruszenie nie dozwoliłoby mi się wytłumaczyć dość jasno i urywane słowa moje mogłyby być zrozumiane inaczej, jakbym sobie życzył.

Na wstępie proszę o wyrozumiałość i pobłażliwość, chociażby tę tylko, jaką się mieć winno dla ludzi, którzy wprawdzie zakłócają spokój domowy, ale czynią to, spowodowani prawdziwem uczuciem.

Zacznę od historyi dwóch minionych lat, bo zestawienie faktów i wrażeń jest mi potrzebnem do wyjaśnienia, jeśli nie do usprawiedliwienia mojego postępowania.

Od pierwszej chwili, w której miałem zaszczyt poznać Panie w Szczawnicy, sympatya moja biegła mimowolnie ku Nim, a wrażenie, jakie wywarła na mnie panna Aniela, było za silne, żebym nie poznał, że mi się go strzedz należy.

Byłem długi czas onieśmielony i trzymałem się uporczywie na boku; nie było to jeszcze wprawdzie uczucie, ale było przeczucie czegoś nieokreślonego.... Przy samym prawie końcu tego pierwszego pobytu w Szczawnicy fatalizm chciał, że uległem pokusie i zbliżyłem się więcej do Ich towarzystwa. Zostałem oczarowany dobrocią, uprzejmością i wdziękiem całego otoczenia. Panie przyjmowały mnie łaskawie, rozumie się zarówno jak wszystkich, którzy mieli to szczęście bywać w Ich towarzystwie. Prawdziwa jednak dobroć i słodycz mają to do siebie, że choć nie skierowane specyalnie do pojedyńczej osoby, wkradają się coraz głębiej w serce, mimo woli i wiedzy.

Nie zdawałem sobie sprawy z wewnętrznego stanu, czułem tylko, że byłem szczęśliwy. Nadeszła chwila odjazdu. Straciłem Panie z oczu, ale nie z serca: zostało po Nich marzenie, które kiełkowało i rozwijało się. Uniosłem ze sobą (być może, żem niedobrze zrozumiał) coś nakształt przyrzeczenia, że będę zawiadomiony, jeżeli Panie przyjadą do Szczawnicy. W ciągu roku chciałem się jeszcze przypomnieć Ich pamięci i posłałem moją komedyjkę. W zamian nie otrzymałem nic. Uczułem wielką przykrość, zrozumiałem, że moje marzenie w mgły się rozwiewa, postanowiłem więc zwalczyć wzrastające uczucie. Chciałem się już nie widzieć z Paniami i zawzięcie rozbijałem się po Krynicy, podczas gdy Panie bawiły w Szczawnicy.

Niestety, nie wytrwałem w mojem postanowieniu. Muszę widzieć jeszcze raz — mówiłem sobie — a potem niech będzie, co chce. Czyż się mam wyrzec chwili szczęścia, dlatego, że ją okupię późniejszą boleścią? Tak więc poleciałem do Szczawnicy, gdzie zastałem Panie na odjezdnem. Te kilka dni zachwytu wystarczyły jednak, żeby mi odjąć wszelką nad samym sobą władzę, i poważyłem się zwierzyć w niezrozumiałym zapewne języku pani Krzyżanowskiej. Ta mi odjęła wszelką nadzieję, dodając jeszcze, że wiadomość o tem mogłaby Pani wielką przykrość sprawić. Prosiłem więc jej, żeby zostawiła moje zwierzenie przy sobie, chcąc przynajmniej zachować dla siebie przyjazne usposobienie osób, które szanuję i kocham. Pocieszałem się myślą, że zasługuję raczej na współczucie, a nie na wzgardę, i że będę przynajmniej uważanym za dobrego przyjaciela, któremu można wszystkich względów odmówić, ale znosić go jako poczciwą i wiernie przywiązaną istotę.

Tak zapatrując się, nie mogłem sobie odmówić przyjemności odprowadzenia Pań tak daleko, jak warunki mnie krępujące pozwalały na to. Ile szczęścia, ile goryczy mięszało się z sobą w tej podróży, ten tylko może wiedzieć, kto przechodził podobne koleje.

Nareszcie pożegnałem Panie i to z małą nadzieją, abym Je kiedykolwiek zobaczył. Nie mogłem się jednak wyrzec słodkich wzruszeń, które za głęboko zapuściły korzenie w mojem sercu. Trawiony tęsknotą, a zarazem chęcią przypomnienia się pamięci, o którą mi tak chodziło, ośmieliłem się napisać list, będący tylko wyrazem przywiązania biednego emigranta do osób tyle drogich. Absolutne milczenie musiało mnie zaboleć tembardziej, o ile sądziłem, że nawet ludziom, których uczuć się nie przyjmuje, godzi się odpowiedzieć, gdy tylko zasługują na trochę szacunku. Nie była to uraza, o tej nie pomyślałem ani na chwilę, ale dziwna przykrość, spowodowana pytaniem: dlaczego mną gardzą?

Pisać powtórnie byłoby z mej strony natręctwem nie do darowania, musiałem więc powierzyć się losowi i czekać cierpliwie, czy Bóg miłosierny nie sprowadzi Pań w te strony i nie dozwoli mi rozstrzygnąć tak smutnego zagadnienia. Nadeszło lato: po długich oczekiwaniach wyczytałem w liście przyjezdnych do Krakowa nazwisko pani Grudzińskiej i natychmiast wyruszyłem do Szczawnicy. Tam mnie spotkało pierwsze rozczarowanie, nie zastałem nikogo. Wyglądałem jak człowiek, który dopiero co spadł z obłoków i nie wie, co się na ziemi dzieje. Jednakże któż opisze moją radość, gdy po tygodniu pobytu dowiedziałem się, że w rzeczy samej Łaskawe Panie przejechały przez Kraków i pojechały do

Kryniey. Bez straty czasu przybyłem tutaj i z niewysłowionem biciem serca odszukałem Ich mieszkanie; przecież przymuszałem się być sztywnym i chłodnym, bojąc się, żeby mi za złe nie wzięto wszelkiego objawu serdeczności. Ile mogłem wnieść ze spotkania, zdawało mi się, iż mój przyjazd jest źle uważanym i męczyłem się straszliwie przez kilka dni sytuacyą, która mnie wydziedziczała w mojem pojęciu z wszelkiego nawet współczucia Pań. Na tak przysposobiony grunt padły słowa Szanownej Pani, które w chwili wyrzeczenia wziąłem jako dowód, że Panie chcą się pozbyć mego towarzystwa. Cofnąłem się więc z wielką boleścią, nie dlatego, żebym był urażony, ale żem mniemał, iż to jest Pań wolą i życzeniem.

Wszelako z czasem przyszły niejakie wątpliwości, bo znając dobroć Pań, nie mogłem stale uwierzyć, żeby mnie chciały w podobny sposób odsunąć od siebie. Niebo zesłało mi tę radość, żem mógł sprawdzić, iż w usposobieniu Pań przynajmniej uczucia wzgardy dla mnie nie było.

Teraz na zakończenie mam tylko kilka słów do powiedzenia.

Rozumiem doskonale, że Szanowna Pani, jako matka, ma prawo i obowiązek szukać dla córki człowieka, któryby odpowiadał wszystkim wymaganiom; głęboko także przekonany jestem, że panna Aniela przymiotami swojemi może i powinna zdobyć sobie to wszystko, co się uważa za najświetniejsze na ziemi; widzę również wyraźnie, że ja nie odpowiadam pod żadnym względem stawianym w świecie warunkom; nareszcie nie jestem tyle śmiesznym, żebym mógł przypuszczać, żem umiał pozyskać sympatye panny Anieli; a przecież pomimo tego i naprzekór tego, ośmielam się wyznać, że ją kocham i że byłbym najszczęśliwszym, gdyby mi pozostał choć cień prawdopodobieństwa pozyskania jej ręki w przyszłości.

Żywię nadzieję, iż wyznanie moich uczuć nie powinno Pań obrazić i że chociaż mi nakażą wyrzec się wszelkich marzeń, zechcą mnie uważać za prawdziwego przyjaciela i jako z takim utrzymywać niejakie stosunki, które w każdym razie wysoko cenić i wdzięcznym być za nie potrafię.

Z uszanowaniem

Adam Asnyk.

List równał się śmiałemu wyzwaniu, którem pani Grudzińska została przyciśniętą do muru. Bądź co bądź, znalazła się w sytuacyi bez wyjścia, w której musiała odpowiedzieć: tak czy nie.

Nie chcąc powiedzieć nie, czem by zbyt zraniła serce poety, gdy przyszło do stanowczej rozmowy już w odkryte karty, odpowiedziała wymijająco.

O wrażeniu, jakie ten list uczynił na pannie Anieli i jej matce, tak pisze pani S. (w liście z d. 2. kwietnia 1914 roku): „Kiedyśmy się już uspokoiły, spada na nas list z oświadczynami, na który, nie chcąc zranić poety, dała matka, rozumie się w mojem imieniu, wymijającą odpowiedź o niemożności decyzyi bez rady ojca, ale odpowiedź tak zimną, że ktoś praktyczniejszy byłby ją uważał za odmowną. Na drugi dzień rano wyjechałyśmy z Krynicy, nie pożegnawszy się z nikim, dlatego właśnie, aby Asnykowi i sobie oszczędzić kłopotliwego spotkania... Podróżowało się wtedy cały dzień końmi do Bochni: tam trzeba było przenocować i rannym pociągiem do Krakowa. Rano, kupując bilety kolejowe, przy kasie natknęłyśmy się na Asnyka, który wyjechawszy na całą noc z Krynicy, zdążył nas dopędzić i razem wsiąść do wagonu. W Krakowie miałyśmy też dosyć dawniejszych i sezonowych znajomych: po całych dniach byłyśmy w licznem towarzystwie, do którego Asnyk bezustannie się przyłączał. Nie usłyszał jednak odemnie ani jednego słowa, któreby go upoważniało do nowych oświadczyn... W końcu, wraz z moim kuzynem, Tomaszewskim, odprowadził nas do Szczakowy, i tutaj nastąpiło ostatnie pożegnanie, bez żadnego porozumienia, ani żadnych przyrzeczeń".

Jedynem przyrzeczeniem, jakie poeta usłyszał z ust panny Anieli, przyrzeczeniem niewinnem zresztą, które jej nie zobowiązywało do niczego, była obietnica, że się będzie modliła za jego szczęście... Zresztą ani jednego słowa, upoważniającego do jakichkolwiek złudzeń!

*

Gdy pociąg, który panie Grudzińskie uwoził do Granicy, zniknął poecie z oczu, nie pozostało mu nic innego, tylko wrócić do Krakowa, a ztamtąd do Lwowa. Wrócił, miotany burzą najsprzeczniejszych uczuć, bo zwątpienia i nadziei. Nie miał wyobrażenia, co myśleć o tem wszystkiem, co go czeka w najbliższej przyszłości: niewysłowione szczęście, gdyby się dowiedział, że może mieć nadzieję, czy też najboleśniejszy zawód, gdyby mu napisano po namyśle, aby przestał myśleć o pannie Anieli.

W tem uczuciu niepewności, które go zupełnie wytrącało z równowagi, gdy nadszedł dzień jego urodzin, 11. września, dzień, w którym, niestety, zaczynał 32-gi rok życia, napisał dwa listy, jeden do pani Grudzińskiej, drugi do panny Anieli (bo uzyskał na to specyalne pozwolenie) i oba listy wysłał w jednej kopercie pod adresem matki.

Oto pierwszy z tych dwóch pamiętnych listów:

Lwów, d. 11. września 1870 r.
Ulica Sykstuska Nr. 550.

Szanowna Pani!

Wybrałem sobie naumyślnie dzień dzisiejszy na pisanie listu do Pani, żeby sobie sprawić tym sposobem najprzyjemniejsze wiązanie na moje urodziny. Spostrzegłem jednakże, biorąc się do pióra, że ta korespondencya. która stanowi dla mnie obecnie cały zapas szczęścia, jest zarazem połączona z niemałemi troskami. Nieustannie stojąca na straży myśl, żeby nie przekroczyć granic, które mi dobroć Łaskawej Pani zakreśliła, odbiera mi wszelką swobodę w pisaniu. Boję się powiedzieć za wiele, za mało, słowem, boję się wszystkiego, jak człowiek nagle zbudzony, który nie może jeszcze rozróżnić, co jest prawdą, a co jest snem? Nie mało mi też utrudnia moje położenie ta okoliczność. że mam nieszczęście być zupełnie nieznajomym Mężowi Szanownej Pani, a przeto nie mogę się zwracać do Niego tak. jakbym tego pragnął. Jakżeż bowiem mogę mieć prawo, ja, nieznajomy intruz, narzucać się z mojemi sympatyami i żądać, ażeby mi jedynie na wiarę słów moich udzielono choć trochę życzliwości? A przecież muszę żądać tych niepodobieństw. bo inaczej listy moje nie miałyby żadnego znaczenia, i muszę być natrętnym i narzucającym się, aż do chwili, w której mi wyraźnie powiedzą: Przestań Pan nudzić!

Osiem dni upłynęło od chwili. gdy po raz ostatni pożegnałem Panie w Szczakowie, a już ten przeciąg czasu wydał mi się tak bezmiernie długim, że nie mogę bez strachu myśleć o tym całym roku, który staje przedemną, jak nieskończona pustka.

Najbardziej gniewam się sam na siebie za to, żem ukradł sobie w Krynicy przeszło dwadzieścia dni szczęścia, które były dla mnie czystą darowizną niebios, a których już mi teraz nic powrócić nie może. Pozostaje mi wprawdzie nadzieja na przyszłość, ale

i ta niedługo gotowa mnie opuścić i pozostawić w tem większej ciemności. Do chwili odebrania odpowiedzi od Szanownej Pani nie żyć, ale tylko wyczekiwać życia będę, bo już i obecnie myśli moje nie są posłuszne woli i nie dadzą się uporządkować ani nagiąć do tonu rozsądnej korespondencyi.

Jest to moją właściwością, że w pierwszym momencie, pod wpływem silnych wrażeń, nigdy nic ani powiedzieć, ani napisać nie mogę, i dlatego proszę mi wybaczyć, że to, co napisałem, tak mało w sobie sensu mieści. Jeżeli mi będzie wolno pisać jeszcze później do Szanownych Państwa, wynadgrodzę sobie tę dzisiejszą nieporadność.

Do końca tego miesiąca pozostaję jeszcze we Lwowie w tem samem mieszkaniu; dopiero z pierwszym października wyjeżdżam do Krakowa na spotkanie moich Rodziców, którzy prawdopodobnie przyjadą.

Gdybym do tego czasu nie otrzymał odpowiedzi Szanownej Pani, pisać jeszcze będę powtórnie, ażeby wywołać przynajmniej gniewną odpowiedź za moje natręctwo.

Korzystając z pozwolenia, załączam również liścik do Panny Anieli.

Z uszanowaniem

Adam Asnyk.

Załączony liścik do doręczenia „Pannie Anieli“ brzmiał, jak następuje:

Lwów, dnia 11-go września 1870 r.
Ulica Sykstuska Nr. 550.

Ośmielam się pisać do Ciebie, Pani: jest to może wielka śmiałość, ale pod tą śmiałością kryje się tyle obaw i niepokoju, że zasługiwać ona będzie w każdym razie na przebaczenie.

Nie miałem nigdy dość odwagi wypowiedzieć ustnie tego, co czuję; wolałem bowiem żyć w niepewności i cieszyć się aż do ostatniej chwili towarzystwem Pań, aniżeli wywołać jednem słowem możność odtrącenia mnie na zawsze.

Dziś jednak muszę to uczynić listownie, w przekonaniu, że każdy człowiek powinien dobijać się o swoje szczęście i nie cofać się dopóty, póki się wyraźnie nie dowie, że jego uczucia stoją w sprzeczności z uczuciami ukochanej przez niego osoby.

Od dwóch lat, to jest od chwili, w której Cię, Pani, poznałem i pokochałem zarazem, przeszedłem po kilkakroć całą skalę uczuć, poczynając od budzącej się nadziei aż do zupełnego zwątpienia. Co gorsza, zwątpienie miało zawsze na swoje usługi racyonalne podstawy, a cała nadzieja moja mogła się tylko opierać na mglistem przypuszczeniu, że każde prawdziwe a silne uczucie powinno znaleźć dla siebie niejakie odbicie. Tak żyłem i żyję po dziś dzień w niepewności, która staje się coraz trudniejszą do zniesienia i dlatego błagam Panią o odpowiedź, co rozstrzygnie w ten lub inny sposób tę zaciętą walkę, którą codziennie prowadzę z sercem mojem.

Przyrzekłaś mi Pani przed rozstaniem modlić się za szczęście moje: były to dobre i pełne litości słowa. Otóż Bóg miłosierny uprzedził modlitwy Pani i całe szczęście moje złożył w Jej ręku.

Nie będę tu szafował wyrazami miłości i nie będę się starał przekonywać Panią o niej; są to rzeczy, które się nie piszą i nie mówią, a jedynie tylko sercem dostrzedz i zrozumieć się dadzą. Wolę, żeby mój list wydał się chłodnym, niżby miał straszyć Panią rozpaczą i wyzyskiwać Jej litość na rzecz uczucia, którego nigdy nakazać nie podobna.

Cokolwiek zaś wypadnie, nigdy jednak nie wyrzeknę się mojej miłości. i choć niezniszczona, pozostanie ona dla mnie zawsze drogą i świętą.

Na tem zakończę, bo więcej pisać jest mi obecnie niepodobieństwem.

Adam Asnyk.

Przypadek zdarzył, ten złośliwy przypadek-chochlik, który ludziom tak często płata niemiłe figle, że w tym samym czasie, może nawet tego samego dnia, kiedy Asnyk wysyłał swoje listy do pań Grudzińskich, nadszedł do Lwowa Nr. 271 Kłosów z d. 8. września 1870 r., przynoszący trzy wierszyki El...y'ego, wszystkie trzy pisane z myślą o pannie Anieli. Dwa z nich, mianowicie Zwiędły listek, teraz wydrukowany p. t. Allegat. oraz wierszyk: Ty czekaj mnie, dzieweczko cudna, teraz zatytułowany: „Par dépit, były już drukowane przed kilku miesiącami w Dzienniku literackim, i nie przynosiły nic drażniącego; ale trzeci wierszyk p. t. Przestroga, po raz pierwszy wydrukowany teraz dopiero, choć napisany z pewnością jeszcze przed wyjazdem do Krynicy, w tym samym czasie, co Oświadczyny i Scherzo, był bardzo przykry, a nie mógł przyjść bardziej nie

w porę, jak teraz, we wrześniu, w chwili, gdy poeta wystosował swe doniosłe listy do pań Grudzińskich, listy, które miały rozstrzygnąć o jego losie. Co najfatalniejsze, że na wsi u państwa Grudzińskich prenumerowano Kłosy, a wiersze, podpisane pseudonimem El...y, oczywiście czytano ze szczególną uwagą. Łatwo sobie wyobrazić niekorzystne wrażenie, jakie na pannie Anieli i jej matce musiała uczynić ta sarkastyczna Przestroga poety, wydrukowana razem z tym Zwiędłym listkiem, którego autograf jako Allegat do listu z d. 26 października 1869, był w posiadaniu panny. [1])

Oto „rzeczona przestroga", którą panna Aniela mogła przeczytać jeszcze przed otrzymaniem ostatniego listu Asnyka do siebie.

Ty, lube dziewczę, masz duszę tkliwą,
Co się pięknością wszelką zachwyca;
Jednak ci radzę: chcesz być szczęśliwa,
To za mąż idź za szlachcica.

Poetycznego nie bierz kochanka;
Poezya w życiu, to ból i troski;
Ty przedewszystkiem jesteś szlachcianka:
Trzeba ci z mężem i wioski.

Bardzo rozsądnie robi twa matka,
Łamiąc kaprysik twój idealny...
Miłość, to jakaś ciemna zagadka,
Majątek, ten jest widzialny!

Przeminie wiosna rozkosznych wrażeń
I sny przeminą, któremi żyjesz,
I śmiać się będziesz z dziecinnych marzeń,
Skoro troszeczkę utyjesz!

I będziesz wdzięczną swej matce potem,
Na bal w poczwórnej jadąc karecie,
Żeś zaślubiła worek ze złotem,
Dawszy odkosza poecie.

Ostatnia ta strofka była niemiłosierna, jako inwektywa. Ale też pomściła się na swym autorze! Nie przeczuwał prawdopodobnie, pisząc tę przestrogę, że w niej sobie przepowie tego „odkosza", z którym teraz miał się spotkać niebawem...

[1]) W liście z d. 3. kwietnia 1914 r. pani S. pisze o tym wierszu przeczytanym w Kłosach, jako o „epilogu" matrymonialnych rojeń poety i jego stosunku do niej...

Gdy upłynął tydzień blizko, jak poeta wysłał swe listy, a odpowiedź nie nadchodziła na nie, nie mogąc się doczekać jej, napisał niecierpliwy Asnyk jeszcze jeden list, już nastrojony na inną nutę. List ten, zwrócony do pani Grudzińskiej, brzmiał, jak następuje:

Lwów, d. 16. września 1870 r.
Ulica Sykstuska Nr. 550.

Szanowna Pani!

Pisząc poprzednie listy, zanadto byłem zaabsorbowany jedną wyłączną myślą i wskutek tego nie miałem dosyć spokoju, niezbędnego do napisania korespondencyi, któraby odpowiadała zwykłym ludzkim wymaganiom. Zaniedbałem również donieść o niektórych rzeczach na przekór moim zobowiązaniom, jak naprzykład o adresie pani Cetnerskiej. Niemniej jednak wdzięczny jestem sobie za tę nieuwagę, bo mi nastręcza przyzwoity powód do powtórnego pisania: i gdybym mógł posądzać siebie o hypokryzyę, gotówbym pomyśleć, żem to naumyślnie uczynił. Żeby teraz nie przepomnieć, kładę na wstępie adres: pani Cetnerska w Krakowie, Ulica Szewska. To będzie wystarczającem dla każdego listu lub posyłki.

Nie obeszło się jednak u mnie przy położeniu tego adresu bez pewnego uczucia zawiści, bo jakkolwiek jestem z wielką przyjaźnią dla pani C., jednakże gniewa mnie to, że będzie w posiadaniu przepysznych warszawskich fotografij, gdy tymczasem ja nie śmiem wyrazić żądania, bo i tak wiem dobrze, że żądania moje rosną w nieskończoność.

Przybył tu do Lwowa świeży transport wiadomości krynickich, w postaci pana Świeżyńskiego, ale nie zawiera nic godnego uwagi. Wszyscy się już rozjeżdżają do domu, obliczając tylko jeszcze straty poniesione w rannych, zabitych i wziętych do niewoli podczas kampanii sezonowej. Płeć piękna odegrała w tym roku rolę Prusaków i zwyciężała na każdym punkcie. [1]) Wprawdzie niektóre liniowe korpusy, jak n. p. panny Massalewskie, lub oddziały starszej landwery, jak pani Więckowska, nie mogły spotkać się oko w oko z nieprzyjacielem, ale to tylko z powodu, że armia nieprzyjacielska była bardzo nieliczna. Pan Słotwiński jeszcze dwa razy

[1]) Pisane w czasie wojny prusko-francuskiej.

kapitulował wobec panny Żychlińskiej, ale skończył gorzej, niż Napoleon trzeci, bo odesłany został nie do Wilhelmshöhe, ale poprostu al diavolo. Jest wprawdzie nadzieja, że na przyszły rok z początkiem sezonu będzie można znowu ich widzieć razem z sobą i podziwiać tę wytrwałość, godną średniowiecznego rycerstwa. Średnie wieki to mi były piękne czasy! Wyjeżdżało się zakochanym na krzyżowe wojny, dostawało się do niewoli saraceńskiej i wracało się po dwudziestu latach z wielkiemi pretensyami do swej lubej, jeżeli nie raczyła czekać.

O samym Lwowie nie ma nic do powiedzenia, oprócz ciągłych deszczów i chłodów, któremi nas Pan Bóg ciężko dotyka. Z całego miasta nie dałoby się wycisnąć przedmiotu choćby na pięć minut rozmowy. Polityczne wypadki stanowią wyłączne tło ogólnego zajęcia. Sejm się ukończył, do karnawału jeszcze daleko, więc życie, które tu nigdy zbyt silnie się nie objawia, ustało prawie zupełnie. Jak się zbierze kilku pesymistów, to czas upływa na samych narzekaniach na francuzów, niemców, opatrzność dziejową, na słotę, na stagnacyę handlową i przemysłową i t. d.

Najwygodniej jeszcze siedzieć w domu z książką lub piórem w ręku i patrzeć, jak się deszcz tłucze po szybach, i niecierpliwić się na swoją rękę...

Na tem zakończę mój list, polecając się w każdym razie życzliwej pamięci wszystkich i całując rączki Pań, jeżeli mi to uczynić dozwolą.

Z uszanowaniem

Adam Asnyk.

Zamiast, jak przed tygodniem, osobnego listu do panny Anieli, były dołączone dwa sonety do niej, świeżo napisane już we Lwowie, sonety, które, kreślone w uczuciu niecierpliwego wyczekiwania odpowiedzi, stwierdzały niedwuznacznie, że poeta przeczuwał niepomyślny epilog swej szczawnicko-krynickiej sielanki, że był pełen niepokoju o swą najbliższą przyszłość, że miał bardzo słabą nadzieję, by mu odpowiedziano przychylnie, by miał widoki poślubienia panny Anieli.

W każdym razie sonety, które napisał pod wpływem tych wszystkich uczuć, a które teraz przesyłał pannie, były bardzo piękne, naprawdę natchnione, a motto z Heinego, które w oryginale wypisał w nagłówku, posiadało niemniejszą wymowę.

Sie trenten sich endlich und sah'n nicht,
Nur noch zuweilen im Traum;
Sie waren längst gestorben
Und wussten es selber kaum.

Dwa Sonety.

I.

Kiedym cię żegnał, usta me milczały,
I nie wiedziałem, jakie słowo rzucić;
Więc wszystkie słowa przy mnie pozostały,
A serce zbiegło i nie chce powrócić.

Tyś powitała znów swój domek biały,
Gdzie ci słowiki będą z wiosną nucić,
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały:
Dom mój daleko i nie mogę wrócić!

Tak pozostałem samotny, bez rady
Na moje smutki i tęsknoty moje,
Przebiegam myślą chwil minionych ślady,

Nad zwiędłą różą zadumany stoję..
I w niebo wzrok mój wysyłam na zwiady,
Lecz o przyszłości pomyśleć się boję.

II.

Niedługo może na przyszłości dzieje
Zostanie tylko blady cień wspomnienia;
Serdeczne ślady mroźny wiatr rozwieje
I wszystko zniknie we mgłach oddalenia.

Więc trzeba będzie zmusić do milczenia
Te drżące struny, z których pieśń się leje;
I grobowego wziąć pozór kamienia,
Co pogrzebaną pokrywa nadzieję.

Na taką przyszłość, co mgłę ołowianą
Rozpostrzeć może na błękitnem niebie,
Na taką przyszłość ciemną i stroskaną,

Co ból i miłość zarówno pogrzebie...
Niechaj te słowa pamiątką zostaną
I niech przeżyją razem mnie i Ciebie!

El...y

d. 16. września 1870 r.

Ale jakkolwiek wątłą była nadzieja poety, gdy zaklejał kopertę z temi sonetami, to nadzieja ta, gdy znów upłynęło dwa tygodnie, a i na swój ostatni list nie mógł się doczekać odpowiedzi, zmalała do minimum, zwolna zmieniając się w całkowite zwątpienie. Ale że niema takiego zwątpienia, na którego dnie by nie spoczywała choć odrobina nadziei, więc i Asnyk, choć już był przygotowany na wszystko najgorsze, chciał mieć pewność zupełną, absolutną, że powinien zaniechać dalszych rojeń o pannie.

W tym celu, w końcu września, przed samym wyjazdem na stały pobyt do Krakowa, napisał jeszcze jeden list do pani Grudzińskiej, list następującej treści:

Lwów, dnia 29/30. września 1870 r.

Szanowna Pani!

Jeszcze raz na wyjezdnem ze Lwowa ośmielam się niepokoić Ją moim listem, ażeby dopełnić miary natrętności, tak, jak to samemu sobie przyrzekłem.

Zupełny brak wszelkich wiadomości ze strony Łaskawej Pani każe mi wróżyć, że wszystkie listy moje ulegną temu samemu losowi, co przeszłoroczny, to jest: że poprostu będą przemilczane. Skarżyć się na to nie mogę, bo niezawodnie moją to być musi winą, żem nie umiał sobie zasłużyć ani u Szanownej Pani, ani u Panny Anieli, na tyle współczucia, żebym mógł być uważanym za godnego kilku słów odpowiedzi.

Wprawdzie milczenie bywa także bardzo wymowną odpowiedzią, ale zanim je serce ludzkie przyjmie za fakt dokonany, jak długo jeszcze potrzebuje męczyć się wszelkiego rodzaju wątpliwościami i przypuszczeniami, jakże uporczywie chwyta się każdej nowej nadziei i gorączkowo wyczekuje każdego następnego dnia, któren nadchodzi na to tylko, żeby zadać kłam ostatnim złudzeniom. Trzeba przejść krok za krokiem wszystkie coraz to bardziej wzrastające udręczenia, zanim się ostatecznie samemu sobie powie: wszystko skończone! Jeżeli więc Łaskawe Panie uciekają się do środka, który rozkłada moralną torturę człowieka na całe miesiące, muszę uwierzyć, znając Ich dobroć serca, że mają do tego jakieś ważne specyalne powody i że byłoby zarozumiałością z mej strony liczyć na Ich przyjazne dla mnie usposobienie.

Jakie zaś być mogą powody? Tego nie wiem; niewiadomym zaś nic z oddalenia przeciwstawić nie mogę, a zatem muszę się

poddać milczącemu wyrokowi, nie będąc w stanie odwrócić go żadnem wysileniem. Są rzeczy, które się nie dadzą okupić niczem, nawet własną krwią: do tych należy zaufanie, przyjaźń, miłość. Kto ich nie może zjednać sobie, jest zapewne bardzo nieszczęśliwym, a przecież to nieszczęście nie daje mu prawa zakłócać spokoju innym swojemi użalaniami.

Podobne bowiem skargi tylko u życzliwych osób mogą znaleść posłuch i przyjęcie; dla obojętnych zaś będą niczem nie usprawiedliwioną napaścią. Dotąd wprawdzie zdawało mi się, że jestem upoważniony pisać to, co czuję i myślę; ale z każdym dniem usuwa się z pod nóg moich ten grunt moralny, i będę musiał zamilknąć, nie mając żadnej wskazówki, do której mógłbym się zastosować.

Na zakończenie mam jeszcze ostatnią prośbę: jeżeli Łaskawe Panie nie widzą w tem nic rażącego, żeby odtrąconemu człowiekowi nadesłać swe dobre warszawskie fotografie ad aeternam rei memoriam, proszę o wysłanie ich pod moim adresem do hotelu Drezdeńskiego w Krakowie, jako o ostatnią łaskę, której mi dopraszać się wolno.

Życząc prawdziwego szczęścia, pozostaję

Z przyjaźnią i uszanowaniem

Adam Asnyk.

List ten, już nie wolny od sporej przymieszki goryczy, zdawał się być ostatnim: sam Asnyk nawet, pisząc go na wyjezdnem do Krakowa, był przekonany, że już więcej do pani Grudzińskiej pisać nie będzie, chyba z podziękowaniem za owe warszawskie fotografie panny Anieli, gdyby mu je przysłano... na pamiątkę, w co również zaczynał wątpić.

W takiem usposobieniu opuścił Lwów, udając się do Krakowa; w takiem usposobieniu wysłał w tym czasie do warszawskich Kłosów aż siedm wierszy lirycznych Z motywów ludowych, w których jednak, pod pełną prostoty formą piosnek sielskich kryły się jego najboleśniejsze przeżycia z ostatnich kilku miesięcy.

Wiersze te, mistrzowskie pod każdym względem, ukazały się już d. 13. października 1870 r. w Nr. 276 Kłosów.

Na pierwszem miejscu znalazł się wiersz o siwym koniu, w tak rzewny sposób malujący zwątpienie poety, który zagubił drogę do swej lubej.

Siwy koniu, siwy koniu!
Coś tak zadumany?
Nie wiesz drogi, nie wiesz drogi
Do mej ukochanej!

Moja miła nas rzuciła,
Nie wyrzekłszy słowa:
Jak nie znajdziesz do niej drogi,
Zginąć nam gotowa.

Siwy koniu, siwy koniu,
Ciężko tobie będzie,
Przegonimy wiatr, co wieje,
Nie spoczniemy w pędzie.

Siwy koniu, siwy koniu,
Cięższej sercu memu,
Bo straciło już nadzieję,
Samo nie wie, czemu!

Trzecie miejsce zajęła namiętna Klątwa, rzucona na tego, kto był sprawcą boleści poety, komu zawdzięczał swój obecny żal i tesknotę.

Kto był przyczyną rozstania naszego,
Niechaj łzy moje upadną na niego!
I niech tak samo serce mu przygniotą
Samotnym żalem i próżną tęsknotą!

Kto był przyczyną naszego rozstania,
Niech nie doczeka słodkiego spotkania,
Lecz niechaj ginie zdala od kochanej
Nie pocieszony i nie żałowany!

Po wierszach Huczy woda po kamieniach i Błąka się wicher w polu, z których ostatni był już drukowany przed pół rokiem w Dzienniku literackim, następował znamienny wiersz, w którym poeta żałował swej przeszłości, swej roli, jaką odegrał w latach 1861—1863, a która go uczyniła wygnańcem, nie mogącym wrócić do kraju, skazanym na tułaczkę po świecie... Żeby nie to, że miał wzbroniony powrót do ojczyzny, żeby nie to, że był emigrantem, nie miałby do walczenia z takiemi przeszkodami, gdy chodziło o poślubienie ukochanej... To też złorzeczył chwili, w której musiał uciekać z kraju, w której nocą przekradał się przez graniczną rzekę.

Bodaj owa rzeczka szuwarem zarosła
Która mnie młodego w obcy kraj zaniosła!
Bodaj owa rzeczka rybek nie rodziła.
Która mnie młodego z domem rozłączyła!
Bodaj owa rzeczka wyschła do ostatka
Że mnie tam zaniosła, gdzie nie znajdzie matka!
„Nie trzeba ci było, o mój chłopcze młody,
Puszczać się tak łatwo na wezbrane wody.
Nie trzeba ci było z domu się wydzierać:
Nie musiałbyś teraz z tęsknoty umierać...
Rzeczka będzie rzeczką i wciąż będzie płynąć.
Wstecz nie wróci woda, musisz marnie ginąć:
A twojej mogiły nie obleją łzami,
Tylko nad nią burze będą wyć nocami!“

W końcowej piosence występuje młoda dzieweczka, rozmawiająca z konwalijką, której nie obrywa dlatego, żeby jej kwiatek nie posądził o płochość, skoro go rwać nie może dla swego oddalonego narzeczonego...

Pokąd nie przyjedzie,
Nic mi się nie wiedzie,
Bo wciąż tylko myślę
O młodym sąsiedzie.

I wszystko mnie nudzi:
Uciekam od ludzi,
Nawet zrywać kwiaty
Chętka się nie budzi.

Lecz gdy wróci luby
Zawrzeć ze mną śluby
Wtedy, konwalijko,
Już nie ujdziesz zguby.

Kogo należało rozumieć przez tego lubego, czy rzeczywiście którego z młodych sąsiadów, trudno rozstrzygnąć stanowczo. Jedno jest pewnem, że tu w postaci panienki, co to się bała być posądzoną o płochość, poeta przedstawił dziewczę, które myśli nie o tym, który w niej jest zakochany, ale o innym, który ją poprowadzi do ołtarza. Bo w przeciwnym razie nie byłoby powodu, by jej biała konwalijka mogła wymawiać płoche usposobienie....

Za to Asnyk miał aż nadto uzasadnionych powodów, by cierpieć skutkiem obrażonej dumy. Wszystko miało swe granice, nawet lekceważenie, ale czem on sobie zasłużył na podobny sposób

traktowania, na takie zignorowanie swej miłości, tego nie mógł zrozumieć poprostu.

Że jednak nie mógł się pogodzić z tą myślą, by miał poprzestać na tak pogardliwej odprawie, więc, gdy znów upłynęło dwa tygodnie od czasu, jak wysłał swój ostatni list ze Lwowa, zdecydował się napisać raz jeszcze...

Oto jego list, który w każdym razie, nawet, gdyby i po nim nie przyszło żadne wyjaśnienie, miał już być ostatnim:

Kraków, d. 15. października 1870 r.
Ulica Lubicz Nr. 7.

Szanowna Pani!

Zabierając się do pisania nowego listu, wiem dobrze, ile jestem niekonsekwentny i naprzykrzony, ale nie mogę sobie dać rady z mojemi myślami, ani też zdać sobie jasno sprawy z tego absolutnego milczenia, które mnie spotyka.

Wrażenia, jakie wyniosłem z bliższego poznania Łaskawej Pani, przeświadczenie o Jej szczerości, a zarazem delikatnej i serdecznej uprzejmości w stosunkach ze wszystkimi ludźmi, kazały mi wnosić, że jakakolwiek decyzya zapadnie względem mnie, wypowiedzianą zostanie ze zwykłą, a naturalną w tych razach otwartością. Nie mogłem przypuszczać ani na chwilę, szczególniej po rozmowie, jaką miałem z Szanownią Panią, a w której Pani dałaś mi dowody prawdziwie macierzyńskiego, a wszechstronnie odczuwającego serca, żebym został zbyty na zawsze pogardliwem milczeniem, które, nie mówiąc nic o głębszej boleści, którą sprawia, zawiera jeszcze w sobie dotkliwą, a bezużyteczną obrazę. Mój Boże! Przecież to tak łatwo znaleźć tysiące powodów, tysiące formułek odmowy do przesłania nieuwzględnionej osobie: każda z nich byłaby uszanowaną przezemnie, i chociażby zniszczyła moje szczęście, nie pozostawiłaby jednak w mojej duszy śladów owego gorzkiego żalu do Szanownej Pani, który teraz czuć muszę.

A jednak Bóg widzi, że nie chciałbym żywić w sobie tego żalu, że chciałbym owszem pozostać po rozejściu się dróg naszych z miłem i serdecznem wspomnieniem tak ujmującej postaci, jaką Pani byłaś zawsze dla mnie. Nie wiele na to potrzeba: kilka słów życzliwych przy szczerej rodzicielskiej odmowie wystarczy, aby mi wlać tę pociechę, że uczucia moje, jakkolwiek nie akceptowane, przecież przyjaźnie ocenione być mogą. Ale tak, jak jest, to przy-

znaj sama Pani! że gdybyś miała syna, któryby miał nieszczęście pokochać bez wzajemności, i któremu na wszystkie prośby o jakąkolwiek odpowiedź, odpowiadanoby tylko głuchem milczeniem, uczułabyś pewnie głęboko ten rezultat i pomyślałabyś może po cichu: tak się nie robi!

Wprawdzie każdy człowiek patrzy tylko ze swojego wyłącznego stanowiska na wszystkie okoliczności: matki, mające córki, sądzą inaczej, niż matki, mające synów; kochając swoje dzieci przedewszystkiem, potrzeba być czasem niesprawiedliwym dla drugich. Tylko, że w tym razie nie mogę w żaden sposób dojrzeć żadnej potrzeby tej kolącej bezwzględności. Odpowiedź odmowna jest tak łatwa, a zrobiwszy nawet śmiałe przypuszczenie, że Szanowni Państwo potrzebują dłuższego czasu do namysłu, to także niewiele kosztuje napisać: zaczekaj Pan do przyszłego lata, bo teraz jeszcze nic możemy nic stanowczego powiedzieć.

W braku tak jednego, jak drugiego rozwiązania, muszę koniecznie myśleć, że Szanowni Państwo tak mało zważają na jakiegoś tam emigranta, i na to, co się w jego sercu dzieje, iż nie chcą sobie zadać fatygi odmównego listu, nawet dla oszczędzenia mu jednej przykrości więcej.

Jest to jedyny wniosek, który wyciągnąć mogę, najprzykrzejszy ze wszystkich, a jednak coraz bardziej zmieniający się w rzeczywistość.

Przed miesiącem nie byłbym w tę gorzką prawdę uwierzył, ale teraz muszę.

Upraszając o wybaczenie mi mojej otwartości, pozostaję

Z głębokiem uszanowaniem

Adam Asnyk.

List ten, tak cierpki w tonie, rozminął się z listem pani Grudzińskiej, która nareszcie dała mu żądaną odpowiedź.

Odpowiedź, choć skreślona o ile możności „w delikatnych i nieobrażających wyrazach“, wypadła odmownie, równała się stanowczej rekuzie. Pani Grudzińska bardzo cierpiała nad tem, że ujrzała się zniewoloną do wysłania podobnego listu, ale nie było innego wyjścia wobec domagania się poety, by mu odpowiedziano stanowczo. A odpowiedź była tem trudniejszą do sformułowania, że choć oboje państwo Grudzińscy, dla różnych powodów, marzyli o innym zięciu, niż niemłody poeta-emigrant, to jednak najważniejszą przeszkodą, by spełniły się marzenia Asnyka, był absolutny

brak wzajemności ze strony panny. Tego nie można mu było napisać wyraźnie... O tyle przykrzejszem było zadanie pani Grudzińskiej, gdy musiała zasiąść do pisania tego bolesnego listu.

Oto, co w tej kwestyi pisze pani S. (w liście z d. 12. marca 1914): „Do dziś dnia nie pojmuję, jak człowiek rozumny mógł doprowadzić do tego, aby doszło do formalnej odmowy: matka moja bolała niemało, będąc do niej zmuszoną... Nie wchodził tu w grę biedny emigrant, jeszcze raz nie! tylko brak skłonności z mej strony. W ośmnastym roku nie wychodzi się za mąż tylko z szacunku!... Dla niego potrzeba było kobiety dojrzałej, któraby zaparła się siebie, a oddała mu się zupełnie: była mu nietylko żoną, ale i opiekunką; któraby nieomal prowadziła go za rękę przez życie, aby, zapatrzony w niebo, nie roztrącał się nieustannie o kamienie przydrożne". W innym liście tak pisze pani S. w tej samej materyi: „Nie było przeznaczonem, abym została towarzyszką jego życia. Matka moja widziała przeszkodę w zbyt wielkiej różnicy wieku, ojciec, przyrośnięty do kawałka roli, nie chciał mnie widzieć żoną wychodźcy i odgraniczyć się odemnie kordonem. A może najważniejsze, że Asnyk, jakkolwiek ze wszech miar godzien uwielbienia, nie posiadał tych zalet, jakie najłatwiej trafiają do siedmnastoletnich rozumów". Ten psychologiczny wzgląd przeważył na szali, zadecydował o losie poety. Wszelkie skrupuły i zastrzeżenia, jakie odnośnie do poety mogli mieć państwo Grudzińscy, były drugorzędnego znaczenia, bo ostatecznie, ubóstwiając swą jedynaczkę, zgodziliby się na wszystko, gdyby ona w tem widziała swoje szczęście. Ale w danym wypadku miało się całkiem przeciwnie. Dlatego pisze pani S. (w swym liście z d. 2. kwietnia 1914 r.): „Moi rodzice zupełnie byli niewinni w całej tej historyi".

Winien był głównie wiek poety, który, dźwigając już czwarty krzyżyk na swych barkach, wydał się 18-letniej pannie, ślicznej w dodatku, za starym. Czuł to sam Asnyk, gdy pod pierwszem wrażeniem panny Anieli jeszcze w r. 1868 pisał w swym smętnym wierszu: „Gdybym był młodszy..."

Ale już jestem za stary,
Bym mógł, dzieweczko,
Zażądać serca ofiary...

Na taką „ofiarę serca" rwąca się do życia panna Aniela nie miała ochoty. I dziwić się jej nie można. Dlatego, odpisując poe-

cie, pani Grudzińska musiała — choć z przykrością niewysłowioną — odpowiedzieć mu odmownie.

Otrzymawszy jej list, wiedząc już, czego się trzymać, odpisał nań Asnyk lakonicznie, jak następuje:

Kraków, d. 18. października 1870 r.

Dziękuję najuprzejmiej za łaskawe udzielenie mi odpowiedzi. Przepraszam za dotychczasowe prześladowania. Fotografie, jeżeli można się ich spodziewać, proszę nadesłać do Krakowa pod adresem: ulica Lubicz, 6.

Z uszanowaniem

Adam Asnyk.

Liścik ten, pisany drżącą ręką, o czem świadczy nerwowy charakter pisma, nie tak kaligraficznie równy, jak ten, którym były pisane poprzednie listy poety, zakończył jego korespondencyę z domem Grudzińskich.

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Starostwo Muszyńskie

Własność biskupstwa krakowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zamek muszyński.

Dziś leży w gruzach. Z pozostałych jednak resztek widać, że był to zamek dosyć obszerny, zbudowany w kształcie prostokąta. Jest to typ zamku jednego z wcześniejszych. Od chwili zbudowania służył najwidoczniej jak i wszystkie zamki w dolinie Popradu i Dunajca już to do obrony kresów — bądź też spełniał zadanie komory celnej ku łatwiejszemu doglądaniu spławu i przewozu. Co do wyglądu zamku w czasach, kiedy był w całej pełni punktem obronnym i zamieszkałym przez kasztelana czy burgrabiego i odpowiednią załogę, można na podstawie pewnych danych — z istniejących fundamentów wytworzyć sobie niejakie pojęcie.

Zamek muszyński już z natury był bardzo obronny. Położony na kończynie stromego wzgórza skalistego, zwanego dzisiaj pospolicie „Basztą“, broniony był od strony gór, tworzących tu jedno pasmo znacznym przekopem, jeszcze i dziś mocno uwidoczniającym się i czworoboczną wystającą wieżą kilkupiętrową, do której prowadził most zwodzony pod wozy i jazdę. W grubym murze wieży jeszcze pół wieku temu (wtedy bowiem S. Morawski w swej „Sądeczyźnie“ podał powyższy plan i opis zamku muszyńskiego) widać było okrągły, niezgrabny komin. Przez most zwodzony i sklepistą szyję w wieży wjeżdżało się na pierwsze podwórze zamkowe, którego wschodnią stronę zajmował piętrowy dwór jako mieszkanie starosty i straży zamkowej. Zachodnią zaś stronę podwórza zajmował dziedziniec ze studnią, otoczony murem pojedynczym od

strony przepaści, podwójnym zaś, tworzącym kryty obronny kurytarz, oddzielony od podwórza drugiego, gdzie, zdaje się, był skład materyałów obronnych jak tramów, kamieni, kul i t. p. i majdan sołtysiej straży nadgranicznej. Zamek muszyński był zamieszkały jeszcze pod koniec XV. wieku. Jak wiadomo bowiem, w 1474 r. zdobyli go Węgrzy i w części zburzyli. Odrestaurowany następnie, choć nie całkiem, nie służył już za mieszkanie staroście muszyńskiemu, lecz mimo to był zawsze jeszcze punktem obronnym. „Jeszcze w czasie wojen szwedzkich za Jana Kazimierza zwożono na zamek bierzma czyli tramy, a w czasie trwogi gotując obronę, wieszano je nad przepaścią tak, aby za odcięciem lub zepchnięciem toczące się w dół przygniatały nacierającego wroga.“ [1]) Z końcem XVII. wieku zaczyna się już powolny jego upadek. Dziś prawie już tylko szczątki pozostały z znacznego rozmiarami niegdyś zamku. Z innych starożytnych budowli zasługują na uwagę ratusz, wznoszący się w środku rynku i stara kamienica (obecnie zburzona) w środku rynku, od ulicy, wiodącej do sądu.

R a t u s z.

Ratusz, służący do niedawna za karczmę, pochodzi z połowy XVIII. wieku. Nazwa wskazuje dostatecznie, czem był rzeczywiście dawniej. We wszystkich prawie miasteczkach starożytnych karczma zalega zwykle środek rynku i nosi miano ratusza. Przed $1^1/_2$ jeszcze wiekiem tem zagajano sądy kryminalne. W piwnicach pod ratuszem była kaźnia dla przestępcow i przyrządy do tortur jak koło, pal, kleszcze i t. d.

O ratusz toczyły się długo walki między mieszczaństwem muszyńskiem a starostą, zwłaszcza pod koniec istnienia klucza. Na mocy przywileju biskupa P. Gembickiego z 20. lutego 1647 r. ratusz miał należeć do miasta pod tym warunkiem, aby mieszczanie utrzymywali w nim skład wina i faktycznie z małemi przerwami aż do 1763 r. utrzymywali mieszczanie ratusz. W tym roku wraz z miastem zgorzał. Wtedy ówczesny starosta, J. Fihauser wybudował nowy ratusz i przywłaszczył go dworowi. Mieszczanie zasyłali raz po raz skargi na starostę do biskupa. Biskup Kajetan Sołtyk przyrzekł powrócić ratusz miastu, lecz starosta mimo to trzymał go i nadal w swoim zarządzie aż prawie po rok 1772.

---

[1]) S. Morawski. „Sądeczyzna“,t. I. pag. 92—93.

Do starożytnych budynków wypada też zaliczyć długi, nizki, murowany budynek, położony na przedmieściu „Nowym Świecie“, w którym to budynku mieści się obecnie żandarmerya. W przedłużeniu tego budynku były niegdyś browar i gorzelnia dworska.

Prócz kilku jeszcze domków, nie przekraczających wiekiem XVIII. stulecia, nie dochowało się tu prawie nic, bo zresztą cały kres pod względem zabytków sztuki nie przedstawia wartości, „nie ma tu pomników nagrobnych, rzeźb, obrazów, czy wspaniałych dzieł architektury, bo w okolicy tej ubogiej szlachcic nie mieszkał, a mieszczanina muszyńskiego czy ruskiego plebana nie stać było na przekazanie swej pamięci odległej potomności“. [1])

Również i z życia dawnych mieszkańców kresu nie dochowało się nic prawie do naszych czasów. Jeden charakterystyczny w tej mierze obrazek przedstawił prof. Łepkowski w czasie swej podróży po Sądeczyźnie lat temu przeszło 40.

„Była to uroczystość Narodzenia M. Boskiej.

Po staropolsku odświętnie ubrane mieszczaństwo wysypało się z kościoła na stary rynek. Tu granatowe kapoty, krojem jak u naszych przedmieszczan, tam pąsowe i zielone sukienne szaty, jedwabną białą frenzlą obszyte, lisiem podbite futrem, to znów mieszczek różnobarwne materyalne jupki z futrzanemi kołnierzykami i złociste czapki jako bindy żydówek; tu wreszcie zielone i pąsowe kapoty kobiet, futrzanemi wykłady i złocistem lub srebrnem galonem ozdobne. Zapatrzył się rynek, a u stóp zwalisk starego grodu przed drewnianemi domami ustawiły się prześliczne grupy na przedobiedną pogawędkę. Trzysta lat temu, gdy starostowie i biskupi siedzieli na zamku pod strażą mieszczan, zapewne ów muszyński rynek nie wyglądał inaczej, jak się w tę chwilę przedstawił. Powoli poczęły się zmniejszać gromadki — tak miłe oku starożytne ubiory kryły się w małych wrotach drewnianych domków i niebawem milczenie świątecznego dnia zaległo rynek, a w każdym kącie pobożnego miasteczka widać było uroczystość święta“. Tyle Łepkowski.

Jak widzimy, jest to wdzięczny obrazek z niedalekiej nawet przeszłości — ułamek z życia ówczesnych mieszczan — ich stroju. Dziś ledwie jedno pokolenie przeszło, jakże wiele się zmieniło! Dziś nie widać już w niczem tej starożytności miasteczka Muszyny i jedynie ruiny zamku niemo świadczą o minionej przeszłości.

— — — — — — — — — — — — — — — —

[1]) Łepkowski, „Ruś Sandecka“.

T y l i c z (miasteczko).

Miasteczko to w dawnych czasach w XIII. wieku miało nazywać się Ornawą i był wtedy zamek obronny na górze. Lecz już w XIV. wieku zwało się Ornamentum albo i Novum Oppidum alias Miastko od 1363 r. Pod temi ostatniemi dwoma nazwami występuje w dokumencie z 1391 roku, na mocy którego, podobnie jak Muszyna, przechodzi na własność biskupstwa krakowskiego. Miasteczko to było położone w gorszych warunkach od Muszyny, bo i ziemia była tu jałowszą i trudniejszy dostęp, a w około osady rusko-wołoskie; to wszystko było powodem, że tamtejsi mieszczanie często przeobrażali się w chłopów, a miasteczko w wieś. Pojawiało się to kilkakrotnie jeszcze i w XVII. wieku. Biskupi krakowscy w swoich ordynacyach często kładą na to uwagę i darząc mieszkańców Tylicza licznemi swobodami, mają na celu podtrzymanie życia i charakteru miejskiego w tej osadzie.

Z tych też pobudek wyszła i erekcya miasteczka tego w 1612 roku, na mocy której za pozwoleniem króla Zygmunta III. miasto otrzymuje od swego wskrzesiciela biskupa krakowskiego P. Tylickiego nazwę Tylicza i prawa, jakie służą Muszynie. Między innemi mówi n. p. Tylicki: „...zaczym, iż w kluczu naszym Muszyńskim miesce nazwane Miastkiem prawa miejskie miało (jakoż przywilej zasadzenia baczymy y tego dochodzimy) a czasem na wieś obrócone — obywatele zaś jego od wiary św. Rzymskiego katolickiego kościoła odstąpiwszy greckie obieli nabożeństwo . . . tedy pozwalamy, aby obywatele domostwa swoje między gruntami — miasto fundamentami starych murów obwiedzione zbudowali...“ [1])

Tenże biskup dotuje kościół pod wezwaniem św. Piotra i Pawła i pozwala Rusinom wybudować cerkiew parafialną unicką, jednak zastrzega, aby Rusini żyli w posłuszeństwie dla kościoła rzym.-katolickiego.

Miasto Tylicz, zwane poprzednio Miastkiem, lokował Kazimierz Wielki.

Stwierdza to wzmianka w aktach sporu o dziesięcinę z 1633, gdzie między innemi jest mowa o uposażeniu kościoła tam będącego przywilejem z 1363 r. Istnienie kościoła stwierdza też i breve Piusa IV. z 1564 r., w którem obie strony gr. i rzym.-kat. wzywa

---

[1]) Łepkowski, „Ruś Sandecka“.

do pojednania. Także i akt erekcyjny z 1612 r., skoro mowa jest o kościele kat., nakazuje zbudować nowy kościół w miejscu starego.

Pozostałością z czasów Kazimierza Wielkiego są gruzy zamku, dziś już mało widoczne. Było więc i tu castrum, podobnie jak w Muszynie, choć o mniejszych rozmiarach.

W przywileju erekcyjnym zakazuje biskup Tylicki osiedlać się w mieście dyzunitom pod karą utraty dóbr. To dało początek do sporów, które trwały przeszło 100 lat i oparły się aż o kuryę rzymską w 1636 r. Z polecenia papieża wydelegował ówczesny biskup krakowski Jakób Zadzik specyalną komisyę, któraby rozpatrzyła sprawę. Ta to komisya zbadawszy, że wina leży po stronie Rusinów, zabrała im cerkiew i obróciła na kościół, a ich samych wypędziła z murów miasta. Na dokończenie erekcyi do kościoła tylickiego ułożyła komisya następujące punkta: [1])

1. Ze wsi Bylicznej kmieci 8 i sołtysów ze wszytkiem prowentem i prawem oddaje.

2. Dziesięcinę snopową we wsi Barzicach po rolach poddanych tejże wioski które do stołu X-cia Imci należała — daruje.

3. Plebańskich 3 łany, poczynające się od rzeki Mochnaczki, a ciągnące się aż do granic wiosek Izb. Mochnaczki od decimy uwalnia.

4. Meszne — miary bartfeńskiej (zapewne bardyjowskiej) dwa gbety żyta, dwa owsa wierzchowato mierząc po wszystkich rolach do gruntów tylickich jakimkolwiek sposobem albo prawem należące powinni dawać wyjąwszy folwarczne.

5. Role popów jako przedtem zdawna w granicach swoich zostawały ze wszytkiemi budynkami i przynależytemi dzierżawcami do dispositiey X-dza plebana niech będą oddane.

6. Młyn Semeńczak z piłą tracką, ogrodem i łąką przyległą tamże dla młynarza ma — wolne pastwisko także wszędy z poddanemi wiosek w okoliczności.

7. Używanie wolne lasów w gruntach miasteczka z wiadomością Starosty jednak tylko na potrzebę X-dza plebana pozwolone jest.

8. Dom dla mieszkania X-dza plebana i szkoły wszytko miasto społecznie w około także kościoła wybudować ma.

9. Kwartały zwyczayne y któremiby się kontentowali tak bakałarz, organista y pisarz mieyski przez ten czas będących na urzędzie, aby były wybierane y płacone.

[1]) Arch. kap. Inv. Ep. Crac. de 1668.

10. Stołowe, świętopietrze, snopki według zwyczaiu innych parafii sługom kościelnym, aby dawali tak iako w Muszynie.

11. Targowe kościołowi wiecznością darowane, które kościelni przysięgli wybieraią, a wybrawszy rachunek niech zdaią X-dzu plebanowi.

12. Pomoc wedle możności dla zaorania ról i zebranie zbóż od pana starosty, aby była dana X-dzu plebanowi z pomienionego miasteczka.

Komisya w dalszym ciągu wydała ordynacyę, która jeszcze w 1784 r. była prawem obowiązującem następującej treści:

„Ordynacya Ich Mościów panów Comisarzów Jaśnie Oświeconego Jg. Mci księdza Jakóba Zadzika, biskupa krakowskiego, książęcia Siewierskiego przeciwko Rusi po wziętey cerkwi za Capelle Assumptionis B. V. M. ieżliby Ruś chciała być in pacifica Possessione Suorum bonorum taki tenor: [1])

1. Aby wszyscy w kościele bywali, a 6 grzywnami penowani toties, quoties któryby nie był i na pokropieniu, gdyż i chorągwie nie ma kto nosić około kościoła, gdy się procesya odprawuie, bo się aż ku dokończeniu mszy św. zchodzą dla czytania reiestru — nie chcąc bywać na mszy swiętey y kazaniu.

2. Aby muzyki nie czynili w piątki, w soboty y inszych czasów od zwierzchności zakazanych, ponieważ tego kościół św. rzymski zakazuie: penować takich ma Jg. Mć P. Starosta grzywnami trzema i egzekwować zaraz.

3. Aby ospy do dwóch niedziel wydali po św. Marcinie księdzu plebanowi tak snopki z kóp y kwartały, każdy mieszczanin na kwartał daiąc po pułpięta grosza od siebie. Gdy przypaduią drwa do szpitala powinne z roli po furze, pod winą grzywny, czego ma doyrzeć pleban z kościelnymi.

4. Że miasteczko zasiadło pod posłuszeństwo kościoła rzymskiego katolickiego (o czym fundusz szerzey opiewa), że katolikom, a nie Rusi fundusz służy a oni alienantur (odstręczaią się) od kościoła św., iż w sobotę mięsa zażywaią na przykorę katolikom, czego vetat et prohibet Ecclesia: tedy tacy mają być karani grzywien 20, a gdy który z nich będzie tak sporny, a trzy razy notowany będzie za upornego: ma bydź od maiętności y z dobytkiem co ma odsądzony; na księdza Jgm. połowica, na kościół tylicki połowica: czego ma seryo ksiądz pleban cum Ministris Ecclesiae animadvertere i zaraz ex nunc do P. Starosty referować.

---

[1]) Łepkowski. „Ruś Sandecka" i Arch. m. musz. — kopia.

5. A iż fundusz katolikom służy, a Rusi tym więcey przybywa zaczym gdy katolik chce kupić maiętność, tedy wyciągaią od nich na cenę niesłusznie; a dekreta św. pamięci IMościów księży biskupów zaszły, aby się Ruś do pół roku wyprzedała; tedy daiemy mocą książęcą IMci Panu Staroście Naszemu i z księdzem plebanem, aby wysadzili z miasteczka Muszyny ludzi godnych i dobrego sumienia będących, coby szacowali na trzy raty; iżby ten, który kupuie katolik wypłacał po roku ratę jedną. A za libertacyę iednę księcia IMci czwarta część przypada taksy, bo inaczej ex pluralitate Rusi zawsze muszą bydź nieznośne niezgody dla ich rebelliey y buntów y przez nich są uciśnieni katolicy. Którzy się ze wsiów cisną y wiele miejsc zasiedli, tych kupna nieważne są, kto chce z katolikiem wolno osieść, a pieniądze wrócić na raty, a gdyby był który tak oporny do książęcia IMci ma się udać z listem księdza plebana. Doyrzeć też ma tego ks. pleban, aby popisał dziatki w miasteczku, żeby ich dawali do szkoły na naukę, którzy będą sposobni, a rodziców upartych y temu przeciwnych ex nunc karać JgMość P. Starosta grzywien dwudziestą do skarbu książęcia JgMości. Bo jako ten ma poradzić w miasteczku, dlaczego miasteczko niszczeć musi y potem w chłopy y wieś obrócą się y mieszczany niegodni będą bydź tak nazywani, którzy ćwiczenia żadnego nie maią i czytać nie umieią ani wiedzą, co się w przywileiach y prawie zamyka.

Roku pańskiego Tysiącznego Sześć-setnego Trzydziestego Szóstego (Locus sigilli). (Podpisano). Wawrzyniec Starczewski kantor krakowski mp. Andrzej Kowaliński J. O. JgMości ks. biskupa krakowskiego nadworny dekretowy pisarz i dworzanin mp. Mikołaj Sierakowski J. O. JgMości księdza biskupa krakowskiego dworzanin mp.

Tenże biskup Zadzik w 1638 r. postanawia, aby w Tyliczu zachowali mieszczanie takie same przywileje co do służby wojskowej jak w Muszynie zachowują. Rusinów stosownie do przywileju lokacyjnego z miasta wydalać poleca. „Z strony puszczenia im cerkwie odkładamy to do zniesienia się z kapitułą naszą, a tymczasem niechay odprawuią nabożeństwo w kościele katolickim“.[1])

Sprawa o cerkiew tylicką na razie ucichła, pozornie tylko załagodzona. Ks. biskup Jan Małachowski pisze w 1682 r. do Starosty Muszyńskiego: „Bardzo jestem obligowany WMości Panu, że się ta komisya o cerkiew tylicką kiedyśkolwiek przecie skoń-

[1]) Łepkowski, „Ruś Sandecka“ pag: 136, 138, 139.

czyła, z którey pokazała się niewinność nasza, żeśmy nie dali okazyi do zburzenia tey cerkwie, zaczym niechay się teraz wstydzi ks. biskup przemyski (rit. graec), że nas niesłusznie udał do św. stolice, teraz odemnie tego potrzebuie, abym pozwolił tę cerkiew znowu wystawić w tem mieyscu albo monaster iaki etc...." [1])

Przebieg całej sprawy wskazuje, jak namiętnie i gwałtownie nieraz występował na widownię antagonizm rusko-polski w tych stronach i jak zapalczywą była walka obu żywiołów. Sprawa o cerkiew tylicką zakończyła się ostatecznie dopiero w pierwszej połowie XVIII. wieku, sprawa polska odniosła porażkę.

Ze strony ruskiej prowadził sprawę cerkwi tylickiej wtedy niejaki Mochnacki Stefan, jeneralny prokurator biskupa przemyskiego i jako taki pełnomocnik ze strony ruskiej aż do ukończenia sprawy cerkwi w Tyliczu. Sprawa ostatecznie zakończyła się w 1737 r. pomyślnie dla Rusi. W następnym roku w dowód zasług dostał ów Mochnacki prezentę na parochię tylicką. W 1737 r. powróciły też grunta do probostwa ruskiego, gdyż przedtem należały do inwenturza łacińskiego. Niemniej jednak i potem aż po 1784 r. obowiązywała ordynacya Jakóba Zadzika z 1636 r. względem Rusi wydana. I tak poprzednio jeszcze przed zakończeniem sprawy o cerkiew tylicką w 1708 r. nastąpiło potwierdzenie tej ordynacyi, jak również w 1784 r. Anno 1708 d. 24 Januarii „Ad acta Visitationis productum et revisum Ordinationem hanc (t. t. z 1636 r.) in toto observandam decernimus et statuimus Josephus Jordan Canonicus Crac. Arch. Sand. cum facultatibus. Visitator mp. Anno 1784 d. 8. Novembris. Ad actum Visitationis Nostrae productum et revisum Hieronimus Wielogłowski Canonicus Cath. Crac. Arch. Sand. Visitator mp."

Miasteczko Tylicz osiadłe było w 1686 r. następującymi rzemieślnikami: kowal 1, szewc 1, tkacz 1, krawiec 1, piła tracka. Toż samo i w latach 1696 i 1712. Ludność liczyła w tym czasie około 350 głów. Miasteczko to płaciło w 1753 r. szelążnego i czopowego rocznie złp. 80 według rewizyi czopowego z 1753 i 1754 r. Dochował się akt, zawierający orzeczenie sądu i regulujący na przyszło pobór czopowego, podobnie jak i w Muszynie.

Miasteczko Tylicz położone w daleko gorszych warunkach niż Muszyna nigdy nie wybiło się na widownię nawet jako miasteczko trzeciorzędne i stanowiło prawdziwe przejście od miasta do wsi.

— — — — — — — — — — — — — — — —

[1]) Łepkowski, „Ruś Sandecka" pag. 136, 138, 139.

Andrzejówka (wieś).

Jest to jedna z najstarszych osad w kluczu muszyńskim i należy do pierwotnego uposażenia. Mianowicie w przywileju Władysława Jagiełły z 1391 r. pomiędzy innemi wsiami spotykamy Andrzejówkę (Ondrzejowa). Jak Łepkowski przypuszcza, tędy szła owa brama, przez którą Rusini dążyli od Spiża w Sandeckie. Pierwotnie też była to osada polska z kościołem rzym.-kat. i najwcześniej dopiero w wieku XV. przeszła z rąk łacinników w ręce Rusi gr. kat.

W 1352 r. nadaje król Kazimierz Wielki przywilej Maciejowi i Michałowi i ich potomkom na osadzenie wsi Andrzejówki, w Czarnym Potoku sołtysowi 2 łany, na pastwisko dla owiec łan 1, na wybudowanie mieszkania pewną część roli, młyn wolny, jatki mięsne, szewskie, piekarskie i sukiennicze wolno mu wybudować, karczmę także ma mieć i staw rybny. Kmiecie na św. Marcin płacą czynszu 8 szkotów groszy, z którego sołtys trzeci grosz bierze. Z każdego łanu swego kmiecie winni płacić po 2 szkoty. Sądy 3 razy w roku sołtys odprawiać winien, a z osądzonych win 2 pieniądze zamkowi, trzeci sołtysowi należy. Plebanowi swemu każdy kmieć na św. Marcin ma dać 1 gbet żyta i owsa.

Decima z każdej roli po $^1/_2$ kopy żyta i owsa.

Banica (wieś).

Osada powstała w drugiej połowie XVI. wieku Przywilej na sołtystwo wydał Fr. Krasiński, biskup krak. (Radłów, 27 września 1574.):

„Iwanowi, Jaśkowemu synowi z Śnietnice na osadzenie wsi na 8 kmieci, każdy na $^3/_4$ roli; sołtystwu 2 łany i obszar od granic, młyn, piłkę tracką, wolną; kmiecie winni sołtysowi robić 3 dni w roku.

Przywilej ten potwierdził w 1627 r. 5 kwietnia w Kielcach, biskup M. Szyszkowski i przeniósł go na tych samych warunkach na Stefana Krenickiego, żonę jego Annę i ich sukcesorów. Decima: z roli kopa owsa. Cerkiew fundowana w 1659 r. przez biskupa Jana Małachowskiego.

Berest (położony na lewym brzegu Białej). Nazwę tej wsi wyprowadza Łepkowski od drzewa podobnego do jaworu (ulmus rosnącego tu w wielkiej ilości.

Sołtystwo i osada założone w 1574 r. 27. września (w Radłowie). Biskup Fr. Krasiński nadał odnośny przywilej braciom Stecowi i Fedorowi Olechnowicom i ich następcom. Sołtystwu 2 łany, młyn, piłę tracka. Każdy z nich miał osadzić 16 kmieci, każdemu wydzielić $^3/_4$ roli. Libertacya od powinności na lat 20. Roboty wszelkie odprawiali kmiecie na rzecz sołtystwa tylickiego. Decima z roli kopa owsa. Cerkiew istniała tu już w 1647 r. Okazuje to dekret Wojciecha Bedlińskiego, starosty muszyńskiego, rozsądzającego spór włościan z parochem.

Brunary (niżnie i wyżnie).

Początkowo była tu wieś jedna. Według aktów, znajdujących się w Śnietnicy, jak mówi Petrowicz.[1]) wieś Brunary lokował Kazimierz Wielki w 1335 r.

„W imię Pańskie Amen. My Kazimierz z Bożej łaski Król Polski, wiadomo czynimy wszystkim, komu to wiedzieć należy, iż pragnąc my dochodu i prowentu Królestwu naszemu... Danielowi Jaszkowskiemu Sołtysowi, Jego prawdziwemu Dziedzicowi i następcom wszelkie pozwolenie... w sprawach uniwersalnej żadnej nie excipując, tak wielkich, jak i małych sądzić, dekretować i karać, jak statut prawa Magdeburskiego wyciąga i rozkazuje, których Sołtysów i dziedziców tam zostających uwalniamy od sądów Wojewodów, przed niemi nie będą powinni sprawiać się, tylko swoim Magdeburskim prawem odpowiadać będzie. Na ostatek pamiętny będąc zbawienia naszego, kościołowi św., który tamże ufundowany będzie, przydajemy rolę jedną. Działo się w Krakowie w dzień św. Marcina Wyznawcy 1335 r.“

Ciekawe jednak, że w akcie nadania z 1391 r. wieś Brunary nie wchodzi do klucza muszyńskiego, z drugiej zaś strony posiadamy przywilej lokacyjny różniący się treścią i wiekiem, a zgadzający się tylko co do osoby, na którą został wydany. Mianowicie w Inwentarzu z 1668 r. znajdujemy, że „A. 1547 in Piotrouice feria quinta a. F. sn. Martini“. S. Maciejowski na list urodzonego

[1]) I. Petrowicz: „Sandeckaja Ruś“ pag. 4.

Jordana z Zakluczyna Castellana Żarnowskiego, podczas Rndmi Joannis Obojerski Eppi. Crac. Capitanei Muszynensis daje na Daniela Jaśkowskiego na nowe znowu osadzenie wsi, bez opisania granicy i łanów z tą konditią by ta wieś do wszelkich praw wołoskich i powinności ich należała. (Przywilej ten podany jest przy wsi Brunarach wyżnich).

W XVI. wieku występują dwie wsie Brunary wyżnie, starsze i niżnie młodsze.

Sołtystwo w Brunarach niżnich zostało nadane w 1577 r. 22. grudnia w Krakowie na rzecz Jaśka, syna sołtysa z Brunary. Dla sołtystwa przeznaczono 2 łany i pewien obszar, młyn, piłę, folusz, osadzić kmieci, ile można (każdy na łanie). Kmiecie sołtysowi dwa dni robić powinni. Decima z roli kopa owsa. Cerkiew powstała tu w 1626 r. Wtedy to biskup Szyszkowski uposażył tutejszą parochię.

Byliczna.

Osada założona w 1595 r. Mianowicie Grzegorz Radziwiłł, Iwanowi Izbiańskiemu daje przywilej na założenie Bylicznej na 4 łanach z młynem, browarem, karczmą wolną do szynku, zagrodników kilku na nawsiu, kmieci 8 (każdy na $^1/_4$ roli), osadzić powinien. Wioska ta w 1636 r. przyznaną została kościołowi tylickiemu wraz z całym prowentem.

Władysław Bębynek.

(Dokończenie nastąpi.)

Młode lata Felicyana M. Faleńskiego.

(Z źródeł rękopiśmiennych.)

(Ciąg dalszy.)

Zachodziło już nad nim powoli radosne słońce dni „sielskich, anielskich“. Coraz nowe cierpienia jęły hartować mu duszę, z serca nikła ufność dziecięca, złego bezświadomość, a rodziła się na jej miejscu młodzieńcza nadzieja i rozważniejsza, dojrzewająca myśl. Ale Felicyan był „Mazur, i już nad kolebką ciemna mu gwiazda świeciła“, więc właśnie w latach, gdy mu najbardziej potrzebna i miłą się stawała doświadczona rada rodzica, umiera mu ojciec, którego stratę odczuł młodziutki poeta niezmiernie głęboko. W jego postępowaniu widzi poeta wzór dla siebie i wspomina, że w życiu swojem nie napotkał bardziej czynniejszego odeń człowieka. Istotnie, stary pan Faleński, zajmując dość wysokie i odpowiedzialne stanowisko rządowe, nie tylko rządził sam swemi dobrami, lecz pomagał wedle sił obywatelstwu, i pracował prócz tego jako historyk i filozof-moralista. „W r. 1819 wydał był „Historyę Polską krótko zebraną“. Pozostawił zaś rękopism drugiego wydania tego dzieła, więcej niż w dwójnasób zwiększonego. Także niemało studyów po większej części filozoficzno-moralnych“. Wogóle pisze o ojcu swym poeta z miłością i uznaniem, kończąc skromnemi jak zwykle wyrazami: „Słowem, ze wszechmiar szlachetny wzór mi z siebie zostawił, który jednak przyznaję to ze skruchą, zanadto mało w życiu naśladować umiałem“.

Zaczęły się teraz smutne dla poety lata. Ojciec mimo wielkiej pracy nie zdołał ocalić majątku, który też wkrótce w drodze działów całkowitej uległ sprzedaży. Młodsza siostra Felicyana została przy macosze, i tam jej dobrze i zacisznie było. On został osamotniały, i czas cały poświęcał teraz namiętnej pracy samokształceniowej i studyowaniu ojczystej literatury. W tymto właśnie czasie cieszyły się niebywałym rozgłosem dramaty Korzeniowskiego. Felicyan bada tej sławy przyczyny, i mimo ustawicznych zwątpień i rozterek myśli, postanawia poświęcić się literaturze.

Los jednak nie jest dlań życzliwy. Opieka, prawnie mu jako niepełnoletniemu jeszcze narzucona, zmusza go do wstąpienia na świeżo ustanowiony dwuletni kurs prawa, gdzie panowała surowa dyscyplina, pozwalająca jedynie na wykroczenia natury... erotycznej. To też za stratę czasu uważał Felicyan uczęszczanie na te wykłady. Wprawdzie ojciec, gdy żył jeszcze, często starał mu się „obrzydzić literaturę“, ale wzamian za to inne, wspanialsze rozsnuwał zamiary. Miał się więc udać młodziutki poeta do Paryża, na naukę wschodnich języków, by w następstwie poświęcić się zupełnie pracy naukowej. Teraz to wszystko się rozbiło...

Uczęszczał więc Faleński na ów kurs dwuletni, ale jedynie wykłady prawa rzymskiego i polskiego jaką taką przynosiły mu korzyść. Reszta nie tylko go nudziła, ale najmniejszej nawet nie rozbudziła ciekawości.

Zajmowało go natomiast niezwykle toczące się wkoło, dziwne zaiste wówczas, życie warszawskie. Warszawa cierpiała, — i Warszawa szalała wśród zabaw. Dwa te światy, wybornie je znając, zestawić chciał poeta, i uczynił to w dwutomowej powieści: „Pan z Facyatki“, którą jednak wkrótce, kiedy zagroziła mu niezbyt przyjemna wizyta ówczesnej żandarmeryi, zniszczył najzupełniej. Zresztą mocno i prawdziwie tworzyć nie było wtedy właściwie dla kogo. Zrozumiały to doskonale rządowe, warszawskie teatry: „więc tedy, dramatu jakiegoś podnioślejszego ani było marzyć — Szekspira Boże uchowaj — za to komedye, ile możności jak najweselsze, najbrudniejsze i najgłupsze“. [1])

[1]) Patrz przypisy i notatki pod liczbą 6.

Zdania o ludziach, jakie notował Faleński, podaję niemal wszystkie. Mogą się komuś przydać, moich zaś twierdzeń i przypuszczeń są często dowodem. Oto zdanie-sąd poety o sławnym Żółkowskim:

„Sądzę, że potomność miałaby wszelkie prawo dość surowo w tym względzie Żółkowskiego sądzić. W istocie, wielki ten geniusz sceniczny,

I ta wstrętna atmosfera iście cezaryańskiej rozpusty oplotła większą część miasta by siecią. „Tam wszędzie kankan panował nieposzlakowany — tam kwiat młodzieży, rozpasanej, straconej, zgranej, pijanej, wyzutej z wszelkiego wstydu, szargał resztki zdrowia, zszargawszy już sumienie, a jeszcze wprzódy zaprzedawszy się lichwiarzom, lub co gorsza jeszcze, tajemnemu Rządowemu wsparciu. Warszawa sama nie byłaby podołała owej Saturnalii; więc też prowincya dostarczała obfity zastęp tych miłośników trzęsawiska społecznego, w którem tonęło się po uszy, a jeszcze ciągle pod nogami grunt się obsuwał".

Ten smutny obraz jest gorzkim dziś dla nas, bo najprawdziwszym wspominkiem z przeszłości. Młodzież, podobnie jak Faleński całą rozumiejąca klęskę, by się nie oddać rozpaczy, którаby może i ją w szeregi tych zatraceńców powiodła, mimowiednie skupiała się i łączyła z sobą. Poeta, najzupełniej samotny w tych latach, zmuszony regularnie bywać na prawniczych wykładach, z coraz mocniejszemi szarpał się zwątpieniami i wolno utracał młodzieńcze nadzieje duszy. To też szczęściem dlań niemal było, kiedy wciągnięty w tajny związek, przez kolegów jego zawiązany, obcować mógł z kilkoma przynajmniej szlachetnemi duszami.

Widok jednak szalejącej Warszawy był dlań coraz boleśniejszy. W oczy przemocą się wdzierały ogłoszenia wiecznie nowych zabaw, raniły serce wieści o szaleństwach niedawnych kolegów i przyjaciół. Nie było rodziny, którаby nie rozpaczała nad życiem ojca, syna, brata lub siostry. „Ślad wrażeń tej Saturnalii" — pisze poeta — odbił się w niejednym utworze Żmichowskiej, bo ona biedaczka miała także brata, który po uszy w tej rozpuście siedział; że zaś osobliwie był jej ukochany, przyjechała więc aż z Paryża, żeby go ratować, ale już było zapoźno. W czas jakiś potem życiem to przypłacił".

śmiało to powiedzieć można, za nazbyt łatwą popularnością goniąc, przy wrodzonem sobie lenistwie, na czas długi sztukę naszą poniżył. Na obronę jego wyrzec się godzi: że za mało z natury rzeczy inteligentny, a jeszcze mniej wykształcony, nigdy się ani opatrzył, że był tylko nader pojętnem w ręku władzy narzędziem. Bo przecież wiadomo zkądinąd: że jednocześnie, wyrastającego niespodzianie Dawisona, bardzo gburowato z Warszawy się pozbyto. A kiedy wreszcie zawitał na scenę Korzeniowski, to niemal tyleż ze strony Dyrekcyi, jako autor doznawał trudności, ile i Komorowski jako aktor prawdziwie poważnego scenicznego nastroju".

W tych właśnie latach nauczył się poeta cenić swą samotność, którą później jako mistrzynię swą pokochał. Włóczęga po mieście stała się jego najulubieńszą rozrywką, tembardziej, że celem jej było jak najdokładniejsze zbadanie i poznanie najniższych warstw społeczeństwa. Jednocześnie coraz częściej odwiedza samotnika, znęcone jego dumaniami natchnienie. Powstają fragmenty dramatów: Dido, Jugurta, Lech, Krak, Wanda, a choć to są tylko ułamki, uważać je możemy za zwiastuny przyszłych Felicyana dzieł „spraw“ historycznych. Już wtedy myśl jego twórcza wahała się między liryką i dramatem romantycznym, a wskazaniami starej szkoły klasycznej; przyszłość obrać miała drogę niejako pośrednią...

Tymczasem jednak młody poeta wahał się jeszcze, swych losów życiowych zupełnie niepewny. Trzeba było albo zostać na prawie, albo stanowczo poświęcić się studyom literackim. Ale, by tą drugą skierować się drogą, trzeba było uzyskać środki materyalne; tymczasem prawna opieka żądała stanowczo, by Felicyan studyum prawne ukończył. Kończył je więc bardzo leniwie zasmucony poeta, marząc jednocześnie o swej kochance — literaturze...

Rzecz rozstrzygnął niespodzianie przypadek. Zjawił się on nagle w postaci policyi, która natrafiła na ślad wzwyż wzmiankowanego tajnego kółka młodych niby prawników. Zawisła nad wszystkimi groza aresztowań. Najbardziej podejrzanego, Leona Kaplińskiego udało się kolegom szczęśliwie wysłać za granicę, zaczem każdy myśleć, jął już tylko o własnej skórze. Faleński błąka się ustawicznie po mieście, nocując raz wraz u innego kolegi, i myśląc jednocześnie o uratowaniu Jędrzeja Fredry, siostrzeńca swej macochy, co się mu też wreszcie udaje. Wtedy dopiero sam ucieka do Prus Zachodnich.

Ale już wkrótce wraca do Warszawy, i na śledztwie policyjnem, na które go natychmiast wezwano, udając „głupiego“, szczęśliwie wszelkich uniknął kłopotów, zyskując sobie tylko opiekę policyjną, czujną nadzwyczajnie.

A tu i nędzne prawa bytowania zaczynają stawiać swoje żądania. Aby być poetą, trzeba żyć, czyli mieć pieniądze, i jeszcze: czyli je zarobić. Wobec tego Faleński szukać zaczął jakiegoś zajęcia, i dzięki pewnej protekcyi otrzymał miejsce przy urządzaniu biblioteki Zamoyskich w Warszawie. „Wynadgrodzenie tam było szczupłe, ale przynajmniej starczyło na opędzenie pierwszych potrzeb, czego mi wtedy dzięki mojej opiece, prawie całkiem brakło. Biblioteka ta, z pewnością najcelniejsza z prywatnych w kraju na-

szym zbiorów, z chwilą śmierci Rychtera [1]) znajdowała się w najopłakańszym nieładzie. Wypadło poprostu od inwentarza zaczynać".

Dni spędzone w bibliotece były jednak dla Faleńskiego bardzo przyjemne, bardziej jeszcze pożyteczne. Tu do woli studyować mógł historyę literatury, rozczytywać się w najcenniejszych ludzkości dziełach, tworzyć wreszcie, czego jednak w tym czasie zupełnie nie czynił: tu spotykał się z Augustem Bielowskim, badającym kodeks kroniki Galla, który już przedtem opisał Maciejowski, tu nauczył się cenić cichą, umysłową pracę, tak bujne nieraz wydającą owoce.

Dla Bielowskiego czuł Felicyan duży szacunek, lecz do zajętego tylko własną pracą zbliżyć się nigdy nie umiał. Zachęcony natomiast jego przykładem energicznie zabrał się do studyów, i wkrótce miał już swe znawstwo literatury udowodnić.

Stosunki życiowe jednak nie stawały się dlań milszemi. Zaraz po uzyskaniu pełnoletności, wytoczyć musiał proces swej dawnej opiece, w którym z trudnością zaledwie część spadku dla siebie i młodszej siostry uratował.

Ukończywszy pracę w bibliotece i uzyskawszy nieco dłuższy urlop, postanowił Faleński zakosztować tak od dawna upragnionej swobody. Wraz więc z przyjacielem Hieronimem Ciemniewskim uradzili zwiedzić „piechotą" Galicyę. Było to świeżo po wypadkach 46 roku, i przygód doznali nie mało. Całą tę wędrówkę opisał poeta i wydrukować ją chciał w „Bibliotece Warszawskiej", ale tego opisu redakcya nie przyjęła. Zwyczajem swym rzucił więc rękopis w piec, więcej się oń nie troszcząc... A szkoda... Nadszedł rok 48, „narodów wiosna", brzemienna w wypadki. Złote słońce nadziei rozbudziło i w sercu naszego poety zamarłe nieco tęsknoty. Słowa same cisnąć się jęły na usta, pieśni wytryskiwały z serca,

[1]) Patrz przypisy i notatki pod liczbą 7.

Dopisek Faleńskiego na marginesie pamiętnika: „Ignacy Lojola Rychter, bibliotekarz i literat, znany z uporczywej polemiki z Maciejowskim. Wnosząc z nagromadzonych przez niego w Bibliotece materyałów, zabierał się do pisania Dziejów Akademii Zamojskiej — ale opieszały i do najwyższego stopnia nieporządny, sądzę, że ostatecznie sam się w zrobionym przez siebie chaosie obłąkał, i nareszcie dał za wygranę. Wszystkie poprzednie katalogi pozatracał. Natomiast zostały po nim bezładne kupy kartek z notatami bibliograficznemi, z których jednak nigdy się nikt niczego doczytać nie potrafił".

jakby z odkopanego źródła, pękły kajdany bolu, i rozproszyły się cienie dumania. Zwyciężyła młodość i jej nadzieje.

Siła twórcza wyzwoliła się w duszy, marzenie o stwarzaniu pieśni pięknych w czyn się zamieniło. Poszły w kąt książki i studya, dźwięczały zato pieśni...

„Utwory te, z przyczyn, jakby się dziś powiedziało — od autora niezależnych (to znaczy: że, dla bezpieczeństwa, raczej się je na pamięć umiało, niż powierzało pismu) — powoli przestarzały i bez wielkiej szkody poprzepadały. Mogę się mylić, i zapewne się mylę, sądzę jednak, że w innych okolicznościach, to jest gdyby drukowanemi być mogły, byłyby mi pewien rozgłos zyskały;“ Jakkolwiek było, zrodzone zostały w słońcu nadziei, i rozpoczęły pierwszy okres poważnej twórczości autora przyszłego: „Althei“.

ROZDZIAŁ DRUGI. (1848—1860)

Serdeczny zawód. — W Szczebrzeszynie. — Pierwsze stosunki literackie. — Pierwszy występ. — W Sielcu. — Korzeniowski. — W Warszawie. — Łuszczewscy. — Przyjaźń z Komorowskimi. — Twórcza praca. — „Z daleka i z bliska“. — „Kwiaty i kolce“. — Korespondencya z L. Siemieńskim. — Niezadowolenie poety. — Praca ducha, na zewnątrz milczenie. — Rok 1860.

Rok 48, w zaraniu swem w skrach słonecznej wolności skąpany, był nito ostatnie echo konającej piosenki swobody w Polsce. Od zachodu Europy szedł ten wiew potężnego buntu, walił po drodze w zaparte serc niemieckich bramy, i jako zwykle, najżywsze i najpłonniejsze nadzieje obudził w sercach polskiej młodzieży. Mimo stanu wojennego w kraju, a oblężenia w mieście, żyło się wtenczas w Warszawie jakgdyby w przededniu przeczuwanych marzeniem dni odrodzeniowych. Z dniem każdym niemal to wpadała piorunowa wieść o jakiejś walce, bitwie, wyzwoleńczym czynie, to znów ku upadkowi się chylił nadpróchniały jakiś tron, lub dźwięczała radosna piosnka o ludów braterstwie.

Lepsza część młodzieży warszawskiej pałała. Mocarna złuda nadziei stwarzała w marzeniu rzeczywistość drugą, serca żyły nie zdarzeniami dnia dzisiejszego, ale wizyami dni przyszłych, pięknem bieżących, wyczarowanych. Zdawało się niemożliwą rzeczą, by rok

ten minął brzemienny tylko nadzieją, a nie czynami i zwycięstwami ujarzmionych owocny. Ale czas jeszcze nie nadszedł.

Faleński z przyjaciółmi mieszkając w owym czasie w klasztorze Karmelitów na Lesznie, w tych samych celach, które patryotom przedrewolucyjnym za więzienia służyły, na jawie śnił w ustawicznem żyjąc podnieceniu. Lecz nie tylko on sam. I otaczający go przyjaciele, a nawet śmiertelnie chory Teodozy Krzywicki [1]) — roili wzajem się podniecając prawdziwe cuda wydarzeń.

I przyszło wkrótce boleśnie smutne przebudzenie; jeden tylko Krzywicki nie przeżył swoich świetlanych nadziei, umarł — i spoczął w mogile wierząc w ludów odrodzenie.

Zaczęły się bowiem śledztwa i bezprzyczynowe zresztą aresztowania. „Niebawem też i kółko nasze uszczuplać się poczęło. Wielu z niego na Sybir poszło i na Kaukaz — niektórzy tylko szczęśliwsi w Zamojskich Kazamatach rekolekcye odsiadywali. Żmichowska i Skimborowiczowa w Lublinie pokutowały. Karol Baliński, powtórnie do Cytadeli wzięty, tam jakiś czas trzymany, zręcznie się jakoś wywikławszy, mimo nowego dozoru policyjnego uszedł z kraju, i już go odtąd więcej nie widziałem.“

Okoliczności te wszystkie w połączeniu z cichnącą wrzawą buntów wolności po świecie, powoli zaczęły stawać się tą „prawdziwą“ rzeczywistością, której głos wypłoszyć miał wkrótce wszelkie z serc polskich nadzieje. Wraz z końcem wiosny szybko marły świetlane ułudy. Piersi skrywały w sobie tajnię rozpaczy, i zakuwała wola w kajdany milczenia wielki głos buntu i pożądań.

Podobno zawiedzionemu w swych nadziejach Polakowi najtrudniej jest zgodzić się na klęskę w milczeniu. Teraz jednak wszystko pokryte zostało milczeniem. Lecz rozpacz nurtowała już w duszach, i wtedy właśnie, po dniach serdecznego tego ufnych serc zawodu, stwarzać zaczęła ten nastrój, który w dniach roku 61 wybuchać jął krzykiem buntu i pieśnią załoby.

---

[1]) Patrz przypisy i notatki pod liczbą 8.

Zanotował poeta — na marginesie swego pamiętnika — taką o Krzywickim informacyę: „Niemało utworów jego drukowała Biblioteka Warsz., Pielgrzym, Dzwon, Przegląd Naukowy. Były to rzeczy może za pośpiesznie tworzone, ztąd brak im rozmysłu i nieraz może rozwlekłością grzeszą, tu i ówdzie jednak spotyka się w nich ustępy wielkiej piękności. W swoim czasie zachęcony i cenionv, dziś mniej słusznie całkiem zapomniany został — tak, że nikt prawie o nim nie wie. Niech więc choć tych kilka słów przyjaciela odświeży przewiędłe kwiaty na jego mogile.“

Faleński czuł się złamanym na duchu, wyczerpanym, do niczego już, zda się, niezdolnym i niechętnym. W stanie przykrego zgnębienia włóczył się po mieście, bo — w dodatku — zabrakło mu płatnego zajęcia. Obiecywano mu wprawdzie posadę, ale dopiero na rok 1850, na razie więc nie miał w Warszawie co robić. Zdaje się, że na usilne zaproszenia macochy, wybrał się do niej na dłuższy wypoczynek, do miasteczka Szczebrzeszyna.

Miasteczko to, w owym czasie, przeżywało swe najlepsze czasy. Znajdowała się tam, bezsprzecznie wtedy najswobodniejsza i może najlepsza w kraju szkoła: gimnazyum imienia Zamojskich, powstałe na gruzach wzniesionej Akademii, którego kuratorem był sam ordynat Zamojski. Panował w niej duch staropolski ale swobodny, i choć nauka surowszym niż gdzieindziej prowadzona była sposobem, uczniowie zadowoleni i chętni czcili istotnie swych profesorów, którzy po większej części wychowańcami byli szkoły Krzemienieckiej.[1])

W Szczebrzeszynie też mieszkała pani Tekla Faleńska, macocha Felicyana, głównie dla wychowania i wykształcenia swych dzieci, jak też, by bliżej być własnej rodziny. Jakim był stosunek poety do macochy, o tem już mówiliśmy. „Matką swojej duszy“ nazywa ją niejednokrotnie Faleński, i piękny ten stosunek coraz bardziej zacieśnić się musiał, skoro poeta w latach późniejszych coraz częściej odwiedza Szczebrzeszyn.

Czas musiał mu tu schodzić niezwykle szybko, a przyjemnie; w pobliżu mieszkała ukochana mu siostra Apolonia, wtedy już żona

[1]) Patrz przypisy i notatki pod l. 9.

Ten fragment swych wspomnień dość szczupły, uzupełnił Faleński dość ciekawą, historykowi przyszłemu szkół polskich przydatną, notatką: „W następstwie stopniowo rzeczy się zmieniły. Rząd począł podglądać, podbadywać, następnie z ramienia swego coraz nowych nauczycieli nasyłać, coraz ciekawszych, coraz więcej sobie oddanych — aż wreszcie Turkułł wziął na siebie Gimnazyum owo od Zamojskich dla Rządu wytargować. Jednocześnie nie wiem już czy z jego porady, czy też może na jego rachunek to zrobiono — ale znagła odkryto tam niby jakiś spisek pomiędzy młodzieżą. Właśnie urządził to niejaki Horoszewicz. Zaczem poszły zaraz uwięzienia, wywózki, w końcu pożądane zamknięcie szkoły, w której gmachach, czemprędzej, moskiewskim obyczajem, pomieszczono lazaret, ażeby nawet zabudowania (a te były bardzo okazałe) ile możności opustoszyć. Od tej chwili, miasteczko także bezpowrotnie upadło.“

doktora Tadeusza Wieniawskiego,[1]) zajmującego posadę naczelnego lekarza w dobrach Ordynacyi Zamojskiej. Wieniawski w krótkim czasie stał się najszczerszym przyjacielem poety i zaznajomił go z obywatelstwem tamtejszem, które dzierżawiąc przeważnie folwarki i wsie ordynackie, składało się z samych czcigodnych i poczciwych wąsalów-wiarusów, dawne pamiętających czasy, żywiących swe i cudze dusze płomieniami wiecznie młodej nadziei, dumy i miłości.

Na czas pewien mógł zapomnieć Felicyan o smutkach i zawodach, oddać się na nowo dumaniom i marzeniom, powrócić myślą do ukochanej dziedziny twórczości. Tu zapewne zrodził się pierwszy pomysł do słynnej powiastki; „Z daleka i z bliska“, a już bezsprzecznie powstawały piękne utwory, w lat kilka później mające utworzyć wieniec „Kwiatów i kolców“.

Było to wszystko jak chwilowy powrót do sielanki beztroskiej młodości, spojrzenie wstecz ku mijającym marzeniom — na progu męskiego, burz pełnego życia.

To też powrót do Warszawy niemiłem był dla poety przebudzeniem; obiecywana posada zawiodła, trzeba było co rychlej budować sobie podstawy materyalnego bytu.

Młody Felicyan czuł się jednak już poetą i literatem. Korzystając przeto z usłużnej pomocy Teofila Nowosielskiego, jął zawiązywać „stosunki literackie“ w nadziei ogłoszenia swych utworów, by już mocnym krokiem do upragnionego podążyć celu.

Stanisław Jachowicz, z którym się Faleński poznał na wstępie owych „stosunków“ zawiązywania, przyjął go niezwykle mile i serdecznie, wysłuchał chętnie deklamacyi fragmentu p. t. „Marek Jaximowski“. zachwycił się nim szczerze. i niemal o przyjaźń poprosił. Felicyan uległ wpływowi myśli jego i uczuć, codzień prawie go odwiedzał. szanując go i czcząc jako człowieka. dziwnej prostoty uczuć i pojęć, niezmiernej, udzielającej się zaraźliwie wiary we wszystko, co dobre, piękne, szlachetne“.

Nie szczędził również młodemu poecie rady swej i przyjaźni literat Wójcicki, któremu w tym samym mniejwięcej czasie został przedstawiony. Z obszernej swej i bogatej biblioteki pozwoliwszy Felicyanowi korzystać, nakłonił go Wójcicki do studyowania literatury z epoki Zygmuntowskiej, co tak piękne w przyszłości wydać miało owoce. Przeczytawszy zaś utwory poety,

[1]) Brat słynnych w świecie artystycznym: Henryka i Józefa.

wybrał z nich: „Tęskne chłopię", oraz „Dziwne dziewczę", i oświadczył zdziwionemu nieco tym wyborem Felicyanowi, że je w „Bibliotece Warszawskiej" wydrukuje. Faleński był uradowany, lecz nie chciał, by go nazwiskiem podpisywano. Powody tego uporu były nieco dziwne, może zresztą ze stanowiska poety dość słuszne. Przytoczę dla wyjaśnienia kwestyi własne jego słowa: „Powody zaś moje, gdyby i dziś przyszło rzecz tę decydować, byłyby te same co wtedy, Jest jakaś fatalność, przywiązana do mego nazwiska. Sądzę, że musi być tak trudne, czy też tak mało wybitne, jak rzadko. Nieraz. najbliżsi, nazywali mnie Falęckim, Felińskim, lub nawet Falkowskim. Nie widziałem nigdy. żeby się równie plątano pomiędzy n. p. Wójcickim. Wójczyńskim i Wójcikiewiczem: Górskim, Gurowskim i Góreckim; Trębickim, Trębińskim i Trąbczyńskim — choć warunki tu przecie jednakowe."

Ta zaisto dziwna „wiara" poety jest jednak bardzo usprawiedliwiona. Z papierów pozostałych po nim w bibliotece Willanowa spostrzedz można, jak często aż do uprzykrzenia bawiono się wykręcaniem jego nazwiska, lecz nawet i utworów. Zdarza się to zaiste tak często. że łatwo można uwierzyć w „fatalność nazwiska", oraz... niezwykle obszerne oczytanie naszych recenzentów, którzy aż 4 razy w jednym roku utwór Faleńskiego przytaczając, podpisywali zgoła innem nazwiskiem. Te właśnie drobne lecz ciągłe przykrości wyrobiły w sercu poety nieufność i żal do zawodu, który go już od pierwszych występów. jak to zaraz zobaczymy, prześladować zaczął. Stąd wiara Felicyana. że mu nad kolebką „ciemna gwiazda świeciła".

Blask owej gwiazdy padł już na chwile pierwszych literackich występów poety. Kiedy bowiem po wydrukowaniu wzwyż wzmiankowanych pieśni, posłał Faleński do redakcyi „Biblioteki Warsz.", pierwszą wówczas napisaną pieśń z poematu „Termopile", oraz ustęp z wycieczki w Krakowskie, wszystko to po dłuższym namyśle sromotnie mu odrzucono. Bronił „Termopil" na posiedzeniu redakcyi jedynie Seweryn Gołębiowski, i onto zapobiegł ich spaleniu, co niezwłocznie uczynić chciał Felicyan.

I znów biegły dni poecie cicho, smutno, prawie beznadziejnie. Zachwiała się w nim wiara w własne zdolności, zaczął pojmować, że jest jednak w jego sercu coś, co moc twórczą żywiąc, zarazem odgranicza go od tłumu ludzi. Czuł, że w niektórych jego tworach bije źródło, z którego nie zechcą pić wszyscy — i z tego to zapewne czasu pochodzi utwór: „Sobie śpiewam, nie komu", mylnie

przez krytykę późniejszą tłumaczony, o czem niżej — i źle zrozumiany.

Jednostajność szarego żywota osładzał mu miły stosunek z Trypplinem, znanym już wówczas literatem, człowiekiem niezwykle wykształconym, który jednak stawszy się ulubieńcem salonów i towarzystw, zatracił moc charakteru i zeszedł na manowce. Strata tego przyjaciela była dla poety tem boleśniejszą, że jej zapobiedz nie mógł, chociaż ją przeczuwał.

Wiktor Przecławski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Berka Joselowicza
projekt legionu ochotniczego dla Austryi
w r. 1796.

Co się stało z Berkiem po upadku insurekcyi 1794 r.? Na pytanie to, rzucone pośrednio przez prof. Askenazego w II. poszycie „Kwartalnika do badania historyi żydów w Polsce“ (Warszawa 1912), z równoczesnem zakwestyonowaniem prawdziwości istniejącej legendy o uwięzieniu ołomunieckiem i wykradzeniu przez kilku przyjaciół, daremnie staraliśmy się znaleźć pozytywną odpowiedź w aktach archiwów wiedeńskich. Przeglądniecie odpowiedniego, dostępnego materyału z papierów policyjnych w Archiwum ministeryum spraw wewnętrznych, aktów wojskowych w Archiwum wojny, głównie Wydziału rady nadwornej wojennej (Hofkriegsrat), nie dało w odniesieniu do Berka żadnej wskazówki, podczas gdy nazwiska wszystkich aresztowanych i internowanych w tym czasie w Ołomuńcu i Josephstadzie uczestników insurekcyi figurują w spisach. O każdym z nich zachowały się jeżeli nie luźne wzmianki, to już wprost stosy aktów, jak n. p. o Piatolim, Stanisławie Potockim, Zajączku, Kołłątaju i t. d. Raz tylko wspomniany został Berek, w znanem już częściowo doniesieniu Bauma z Lublina z 15. listopada 1794. Baum, pisząc o wjeździe Suworowa do Warszawy i oddaniu mu kluczów miasta, informuje: „... General Fersen ist detachirt um die aus Warschau unter dem General Dowrowsky, Madalinsky und Gedroiz abgezohenen Insurgenten... aufzureiben. Schon am 12. dieses Monats hat sie derselbe bei Czersk eingeholet, viele Kanonen erobert, und die ohnedieses unzufriedenen Truppen zerstreut; sie ziehen nun in einzelnen Horden herum, gehorchen den Befehlen ihrer Obern nicht mehr, haben Mangel an

Lebensmitteln und ergeben sich truppenweise teils an die ihnen nachsetzenden Russen, teils an unsere im Sandomirschen und Lublinischen befindlichen Brigaden. Die Zahl der anlangenden Flüchtlinge ist beträchtlich; wir entwaffnen und assentiren die diensttauglichen zu unsern Militär, die vollkommen untauglichen hingegen werden mit Laufpässen entlassen, man schont hingegen jene, welche sich für Officiers oder Towarzyszen ausgeben; ich glaube aber, dass die subalternen Officiers und Towarzyszen eben unter die gefährlichste Klasse zu zählen sind, und ohne Unterschied gezwungen werden könnten Dienste zu nehmen, weil man eines Teils bei der grossen Vermehrung der polnischen Insurgenten-Armee nicht blos adeliche, sondern selbst Bediente, Friseure und Handwerker zu Towarziszen wählte, weil die flüchtigen nicht als Offiziers von einer Puissance anzuschauen, sondern als Beförderer und Diener der Revolution zu betrachten sind, und weil bekanntermassen meistens Avanturiers, Menschen ohne Eigentum und Vermögen wettgeeifert haben, Officiersstellen bei der Insurektionsarmee zu erhalten; zum Beispiel kann der bekannte warschauer Schuster Chylinsky und der Jude Berko Aronowicz dienen, die beide als Oberste bei der Revolutionsarmee angestellt waren"...[1])

Doskonale informowany i w stałym kontakcie z Radą nadworną wojenną pozostający Baum nic nie wie o jakimkolwiek rozkazie aresztowania Berka. Z chęcią oddałby go tylko, jak widać z powyższego pisma, w rekruty. Rozporządzenia Rady nadwornej wojennej, kilkakrotnie w tym czasie wydawane i przypominane, nakazywały aresztować wyraźnie tylko przywódców (Häupter) insurekcyi. Za takiego Berka widocznie nie uważano i wogóle mało się jego osobą interesowano. Inaczej było z Kilińskim, w którym widziano uosobienie hydry rewolucyjnej mieszczaństwa warszawskiego, a Baum nie omieszkał zaraz donieść, 27. grudnia, o wydanym nakazie i aresztowaniu Kilińskiego łącznie z Potockim, Mostowskim i Zakrzewskim. Jakkolwiekbądź rzecz się mieć mogła, jedno okazuje się niezbicie pewnem, a mianowicie, że Berek w każdym razie nie uciekł, ani też nie został wykradziony z więzienia. W drugim kwartale r. 1795 prosi Prezydyum rządu krajowego we Lwowie o paszport podróżny do Wiednia.[2]) We Lwowie przesia-

[1]) Archiwum wojny, Wiedeń. Cabinets-Acten 1794. Ciąg dalszy doniesienia zob. Kukiel, Próby powstańcze (Warszawa 1912) str. 313.

[2]) Archiwum Państwowe, Lwów. Indeks über die verhandeldten Praesidial-Gegenstände 1795. April-Mai-Juni 2947. Josiolowicz Berek bittet um einen Pass nach Wien. Samego aktu brak.

duje w następnym 1796 r., ciesząc się tu zasłużoną szeroką popularnością. Nielegalnym sposobem uwolniony z Josephstadtu czy Ołomuńca, byłby Berek z natury rzeczy musiał unikać granic Austryi.

* * *

Rok 1796 pamiętnym pozostał w dziejach walk Austryi z Francyą i Bonapartem. Niepowodzenia operacyj wojennych na terenie włoskim i skuteczne zaatakowanie interesów austryackich z tej najbardziej czułej strony pobudziły rząd wiedeński do najwyższych wysiłków. Wybierano masami rekruta i podatki, a zażądano teraz z kolei rzeczy dobrowolnych, nadzwyczajnych ofiar patryotycznych od ludności na cele wojenne. Nie pomijano oczywista w tych żądaniach Galicyi a „Handbilety" cesarskie raz poraz przynaglały gubernatorów galicyjskich do energicznego zachęcania mieszkańcóów do dawania „czynnych dowodów ich wierności i przywiązania dla ich najłaskawszego (gütigsten) władcy i ich miłości ojczyzny".

Ofiar nie brakło. Pospieszył z niemi z Galicyi zachodniej między innymi Stanisław Małachowski, oddając na potrzeby wojenne 922 korcy zboża, 460 korcy owsa, 432 centnarów siana i 200 luf karabinowych, ale z zastrzeżeniem nie ogłaszania swego nazwiska. Za hojny dar otrzymał za pośrednictwem gubernatora specyalne wyrażenie ukontentowania cesarskiego. W Galicyi wschodniej nie na wiele liczył gubernator Gaisruck. W każdym razie w listopadzie donosił, że zebrano już 9219 guldenów, 13386 korcy zboża, 16768 korcy owsa, 900 łokci płótna, 1200 centnarów i 350 porcyi siana, 4 skóry wołowe, 3 srebrne miski (Schüsseln), 30 garncy wódki, 65 wołów i 39 koni. Szczegółowe spisy imienne dobrowolnych datków ogłaszane spółcześnie w „Wiener Zeitung", wymieniają wśród wielu ofiarodawców ks. Adama Czartoryskiego z pozycyą ofiarowanych 1000 guldenów, 1000 korcy zboża i 1000 korcy owsa. Tyleż samo ofiarowała Elżbieta Lubomirska; Aleksander Zamoyski dał 2000 korcy zboża i 2000 korcy owsa, Katarzyna Kossakowska 1000 guldenów, biskup lwowski Bielański 300 guldenów, Waleryan Dzieduszycki 200 korcy zboża i 200 korcy owsa, Augustyn Deboli 40 korcy zboża i 60 korcy owsa i t. d. Jako ofiarodawcy srebrnych misek figurują Remigiusz Karnicki (2) i Antoni Rozwadowski. Nie brak pozatem w spisie, z którego jeno dla przykładu parę najwybitniejszych pozycyi dajemy, datków 1, 2 i kilku guldenowych, pochodzących od różnych funkcyonaryuszy

rządowych, urzędników, a nawet i woźnych. [1]) Kosztem dobrze myślących patryotycznych obywateli dostawiono pozatem nieco dobrowolnego rekruta, a zamierzano nawet wystawić osobny korpus ochotniczy. Ta ostatnia myśl nie została jednak zasadniczo ani przyjętą ani też aprobowaną przez władze najwyższe, które miasto niepewnego korpusu wolały brzęczącą, pewną gotówkę i dostawy w naturze.

Nie obcy agitacyjnym wpływom, dobrze sprawę ofiar dobrowolnych prowadzącego Gaisrucka, były uczestnik insurekcyi Kościuszkowskiej, która przecież w Austryi upatrywała przyjaciela, jeżeli już nie sprzymierzeńca, Berek powziął w tym czasie pomysł stworzenia korpusu ochotniczego żydowskiego i oddania go na usługi wojenne Austryi. Gaisruck podany sobie projekt przyjął i posłał go natychmiast na ręce dyrektoryalnego ministra hr. Lazansky'ego w Wiedniu z następującem pismem: [2])

Hochgeborener Reichs Graf,
gnädiger Herr!

Als ich nach Empfang des höchstverehrlichsten Hand-Billets vom 21-ten vorigen Monats die hierländigen Einwohner zur Darbringung thätiger Beweise ihrer Treue und Anhänglichkeit für ihren gütigsten Souverain und ihrer Vaterlands-Liebe aufmunterte, erboth sich ein sicherer Jude Berl Joselowich, welcher zur Zeit der polnischen Revolution als Oberster dienete, ein Freikorps aus Juden zu errichten, und die hiezu erforderlichen Kosten durch freiwillige Beiträge der reichern Judenklasse zu verschaffen. Er überreichte mir über diesen Vorschlag einen ausführlichen Plan, welchen ich EWExcellenz ehrfurchtsvoll vorlege. Dieser Mann verräth durch sein Äusserliches viel Witz, Munterkeit und einen unternehmenden Geist, er soll sich auch durch seinen Muth und durch seine Art und Weise seine Glaubensgenossen zu lenken und zu leiten, besonders ausgezeichnet haben. Ob aber dieses Korps zur Dienstleistung bei der Armee geeignet sein werde wird es von

[1]) Szczegół o Małachowskim z Arch. min. spraw wewn. w Wiedniu (Informacya p. Maryana Kukiela). Imienne wykazy ofiarodawców zob. „Wiener Zeitung“ za r. 1796, n-ry 102, 103 i 104 z 21., 24. i 28. grudnia.

[2]) Akta niżej podane z Archiwum wojny w Wiedniu. HKR. 1796, IX. 1311.

der höchsten Beurteilung und Entscheidung abhängen und welche ich EWExcellenz um so dringender zu bitten die Ehre habe, als dieser Mann mit Errichtung seines Korps gleich nach Verlauf der jüdischen Feste, mithin schon mit Ende dieses Monats anzufangen sich anheischig macht.

Die Gründe, so in politischer Rücksicht für diese Unternehmung sprechen sind, dass das Land andurch von so vielen müssigen, liederlichen und ihren Eltern und Bluts-Freunden gewiss lästigen Judenpurschen befreiet und von dieser, dem Produzenten und Konsumenten so schädlichen Menschenklasse gereiniget würde. Dass jener gerechte Vorwurf, dass die hierländige in 188 432 Seelen bestehende Judenschaft zu Staats-Nothdurften nicht verhältnissmässig beitrage, zum Theil beseitiget, und dass wenn auch dieses Korps einen grossen Verlust erleiden sollte, dieser dem Lande doch lange nicht so empfindlich, als nicht jener, den es durch die Aushebung der Bauernsöhne empfindet, fallen würde. Endlich dürften auch die zurückkommenden Juden durch die genaue Mannszucht zur Reinlichkeit mehr geneigt und zu anständigen Beschäftigungen empfänglich gemacht werden.

Ich empfehle mich zu Gnaden gehorsamst und verharre in vollkommenster Ehrfurcht

Euer Excellenz
Untertänig gehors.
Joh. Graf v. Gaisruck.

Lemberg, am 15. September 1796.

An den Herrn Direktorial Minister Grafen v. Lazansky Excellenz.

Dołączony do niniejszego pisma projekt Berka opiewał jak następuje:

Entwurf.

Ein Korps von 6 bis 8000 Mann Juden zum gegenwärtigen Kriegsdienste gegen die Franzosen zu formiren, welches Korps theils aus Cavallerie, theils aus Infanterie bestehen, in kurzer Zeit zusammengebracht sein und dem allerhöchsten

Aerario sowohl in der Entstehung als Erhaltung sehr wenig kosten soll.

1. Die Kavallerie dieses Korps wird aus 2 bis 3000 Mann, die Infanterie hingegen aus 4 bis 5000 Mann, ohne Chargen, bestehen.

2. Wird zuerst und vorzugsweise das Korps der Infanterie zusammengebracht; nebenbei aber auch für die Formirung der Kavallerie gesorget. Zur Kavallerie werden jene Juden genommen, welche

a) mehr bemittelt und gut konduisirt sind, und daher sich im Stande finden, das Pferd samt Sattel und Zeug, dann Armatur und Rüstungs-Sorten beizuschaffen, auch

b) jene welche tadellose Conduite haben, und des Reitens kundig sind (deren es in Lemberg und Brody bis 1200 gibt) und von andern mit der erforderlichen equipiret werden.

3. Die Kavallerie wird in Escadrons zu 100 Mann, und die Infanterie in Kompagnien zu 200 Mann dergestalt eingeteilt, dass jede Escadron und Compagnie ihre Numer in der fortlaufenden Ordnung mit den Chargen erhalten, und welche Numer auch der Mann auf den Knöpfen haben wird.

Für die Kavallerie werden die Numern von 1 bis 30 und für die Infanterie von 31 bis 55 bestimmt, weil das ganze Korps aus 30 Escadrons und aus 25 Compagnien zu bestehen angetragen wird.

4. Jede Compagnie und Escadron erhält:

1 Hauptmann oder Rittmeister,
1 Ober-Lieutnant,
1 Unter-Lieutnant,
1 Feldwäbel oder Wachmeister bei der Infanterie, die Kompagnie 8 wirkliche und 8 vice-corporals, bei der Kavallerie die Escadron 4 wirkliche und 4 vice-corporals.
1 Tambour oder Trompeter,
1 Fahñenschmidt bei der Kavallerie,
1 Chyrurger,
1 Fourier.

Vier Compagnien oder Escadrons erhalten einen Oberstwachtmeister und 1 Ober-Chyrurgus.

Zwölf Compagnien oder 8 Escadrons bekommen 1 Oberst-Lieutnant, 25 Compagnien oder 15 Escadrons 1 Obersten.

Das ganze Korps aber erhält:
1 General-Major zum Kommandirenden,
2 Rabiner statt des Feldpaters,
2 Stabs-Chyrurgen,
2 Auditors,
2 Rechnungsführer.

Den Inhaber des ganzen Korps werden S. k. k. Majestät bestimmen.

5. Der Herr General-Major, die Herren Stabs- und Ober-Officiers, dann die Feldwäbel, Wachtmeister und wirkl. Corporals sind der Zeit aus der k. k. Armee zu nehmen, um diese neue Mannschaft zu der Militär-Zucht und Ordnung zu verhalten: doch sollen gut konduisirte Juden zu Vice-Corporals gleich anfangs der Aufmunterung wegen kreirt werden. In der Folge aber, wenn sich ein Jude auszeichnet, musste ihm das Avancement auch zum Ober-Officier in diesem Korps offen bleiben und um mehr Aufmunterung in dies neue Judenkorps zu legen, müsste auch ein jeder Jude, der sich vor dem Feinde besonders hervorthut, alle jene Ehrenvortheile geniessen, welche S. k. k. Majestät den christlichen k. k. Truppen bisher zu zuwenden allergnädigst geruhen haben.

6. Die schon bestehenden k. k. Kriegs-Artikel (jene nur ausgenommen, welche auf Religion einen Bezug haben) bleiben auch bei diesem Korps anwendbar und in ihrer Wirksamkeit. Daher müssten auch diese Kriegs-Artikel beschworen, und der darwider Handelnde darnach abgeurteilt werden. Zu diesem Ende stünde dies Korps unter der Militär Jurisdiction und benöthigt deswegen zweier Auditors. Was das ius gladii betrifft, hätte dasselbe der Hochlöbl. Hofkriegsrath auszuüben. Gleich bei Enstehung dieses Korps wäre dasselbe auf den Kriegsfuss zu setzen auch die Kriegs-Artikel hiernach anzuwenden.

Um das eingewurzelte Religions-Vorurtheil nicht zu verletzen, und um die bestehenden jüdischen Religions-Übungen und Gebrauche zu handhaben, so ist

7. Ein Rabiner bei der Infanterie und ein Rabiner bei der Kavallerie unumgänglich nötig. Diese müssen dies Korps in vorkommenden Fällen bei eintrettenden Religions-Aengstlichkeiten belehren und absolviren, damit der Mann in jedem Falle und zu jeder Zeit zum nothwendigen Allerhöchsten Dienste verwendet werden kann. Da der Jude immer stolz ist und nicht gern als Stuckknecht Dienste leistet, auch sich nicht gern einzeln wegen

verhinderten Religions-Übung unter andere Regimenter und Korps enrolliren lassen will, dahingegen mit aller Willigkeit sich herbeilassen wird, wenn einer aus ihrem Mittel ein Korps formirt, und wenn eben dieser ihr Glaubensgenosse dieselben gegen den Feind anführen wird, so ist

8. Ein sicherer Jude Berl Joselowicz, der bereits als Oberster bei Warschau ein Korps Juden gegen die Russen anführte und die Anhänglichkeit der Juden für sich hat, erbietig, dieses blos aus Juden bestehende Korps in kurzer Zeit zusammen zu bringen und in dem erforderlichen Exercitio diensttauglich herzustellen; doch bedingt er sich den Ehrentitel eines k. k. Obersten, und bittet im Falle er verwundet werden sollte, ihm eine allergnädigste Pension zufliessen zu lassen. Der Jude überhaupt hat einen eigenen Stolz. und eben dieses Stolzes wegen kann Berl Joselowicz unter dem Titel eines Obersten, um der Ehre und Aneiferung willen, dieses Korps leichter zusammen bringen.

9. Die Mannschaft dieses Korps würde nur auf die Zeit des gegenwärtigen Krieges enrollirt: sollte man dasselbe länger beisamen lassen und verwenden wollen. so wird dieses von S-r k. k. Majestät abhängen. Dies galizische Juden-Korps wird unter Anführung eines Herrn General Majors der k. k. Armee nicht nur gut zu brauchen sein, weil diese Leute nur einmal die Woche was warmes zu essen und lange Zeit zu hungern gewohnt sind, sondern es wird die Nachfolge bei andern Juden-Gemeinden nach sich ziehen und die christlichen Untertanen. welche bis jetzt die Rekruten gestellt haben. beruhigen, ja selbst aneifern, ihr Äusserstes zum allgemeinen Besten beizutragen.

10. Was die Montur betrifft so wird die Infanterie lange ungarische gefütterte Hosen, kurze Stiefel, eine polnische Kurtka und eine polnische Mütze tragen. Die Hosen bekommen auswärts auf der Seitennath einen dunkelgrünen, schmalen Streif von Tuch. die Kurtka erhält einen dunkelgrünen schmalen Aufschlag, und die Mütze bekommt statt der Bräme einen dunkelgrünen Streif von Tuch. Das Tuch zu Hosen, Kurtka und Mütze muss schmutzfärbig sein, und es wäre daher jenes von Pfeffer und Salz das beste.

Die Knöpfe sind von Messing mit der Nummer der Kompagnie oder Escadron. Übrigens erhält der Mann jährlich 2 Hemden, wie das übrige Militaire.

Die Kavallerie wird wie die Infanterie montirt, nur werden die Aufschläge und Besetze von roten Tuch gemacht, um sie besser

von einander zu unterscheiden: auch bekommen sie wegen des Kartusches ein Achselband von roten Tuch. Die Mäntel erhalten beide von dem gewöhnlichen Militär Croisée. Nur dass jene für Kawallerie weiter und länger, für die Infanterie aber etwas enger und kürzer ausfallen werden.

11. Die Armaturs-Sorten für die Infanterie sind:

a) Eine drei polnische Ellen lange, vorn mit einer kleinen Axt versehene, scharfe Picke,

b) Eine Pistole,

c) Ein scharfer etwas kürzerer Säbel,

d) Ein kleiner Kartusch wit 24 scharfen Patronen. Dieser Kartusch wird um den Leib so gegurtet, dass die Patronen vorn auf dem Leib kommen, auf der rechten Seite die Pistolen und auf der linken Seite sich der Säbel befindet, ohne einer besondern Kuppel für Pistole und Säbel zu benöthigen.

12. Die Armaturs-Sorten für Kavallerie bestehen in

a) 2 Pistolen,

b) einer 4½ polnischen Ellen langen scharfen Picke, vorn mit einer kleinen Fahne,

c) einen krummen scharfen Säbel mit Kuppel,

d) einen Kartusch zum Umhängen mit schwarzen Riemen und 24 scharfen Patronen,

Die Pferde müssen übrigens leicht und mit einem polnischen Sattel versehen sein.

13. Die Löhnung und Gage erhält dieses Korps, wie die übrige auf den Kriegsfuss stehende k. k. Armee aus der Kriegskassa.

So wie es

14. Medikamenten und Spitalrequisiten zu seinem besonderen Spital ebenfalls wie die übrigen Truppen erhalten musste.

15. Vom Exercier- und Dienst-Reglement würde dieses Korps all jenes beibehalten, was für dieses Korps in Rücksicht seiner besondern Waffen passen wird.

16. Um nun dieses Korps zusammen zu bringen: so wären vorläufig die Juden-Vorsteher in Ostgalizien vorzuladen und ihnen in aller Milde bekannt zu machen, dass auch die Juden nun Gelegenheit hätten S-r k. k. Majestät in einem eigenen Korps, welches wegen der Religions-Ausübung einen Rabiner haben würde, nützliche Kriegsdienste zu leisten; dass es jetzt an der Zeit sei, sich als getreue und thätige Unterthanen zu zeigen, und an der Ehre Anteil zu nehmen, sich bei S-r k. k. Majestät einen eigenen

Ruhm, der in so vielen Jahrhunderten sich nicht ergeben, zu erwerben. Es sei bekannt, dass auch der Jude tapfer und brav vor dem Feind sei; nur bis jetzt habe ihm die Gelegenheit gefehlt, sich in einem eigenen Korps auszuzeichnen und die Verachtung zu beseitigen, welche eben deswegen von den übrigen christlichen Untertanen auf sie gefallen sei und noch jetzt geworfen werde.

Sollten sich nun die Juden auf diese milde Vorstellung zu Kriegsdiensten freiwillig herbei lassen. Gut! — Sollten sie aber verzögernde Anstande und Bedenklichkeiten äussern, so wäre ohne weiteres die Rekrutirung und Aushebung der Juden vorzunehmen.

17. Zu wirklichen Rekruten würden zwar nur die ärmeren und diensttaugliche genommen, doch würden auch vermöglichern ausgehoben, aber gegen einen angenommenen Betrag wieder entlassen. Dieser Betrag könnte nur in baaren Gelde, in Tuch, in Armatursorten, in Pferden, in Heu und Hafer, in unentgeltlicher Transportirung eines Fourage — oder andern Betrags etc. bestehen.

18. Um allen Unterschleif und Abdruckung wegen Stellung der Mannschaft überhaupt, und insbesondere wegen Loskauffung eines reichern Juden zn beseitigen, so hat Stellung und Loskauffung vor einer eignen gemischten, in einem Policei-Kreisamts- und Kriegskomissariatischem Beamten, bestehenden Kommission zu geschehen. Diese Kommission hätte ein ordentliches Protokoll zu führen und die für einen loskauften Juden eingehenden Geldern zwar nicht einzuheben, sondern einen Zahlungsschein über den Betrag auszufertigen, welchen der Jude in die Kriegskasse, oder in eine andere angemessene Kasse abzuführen, und mit einer Quittung wegen geschehener Zahlung sich bei dieser Kommission zu legitimiren hätte. Durch diese Loskauffung entsteht ein nahmhafter Fond zur Errichtung und Erhaltung dieses angetragenen Judens-Korps.

Diese Loskauffung muss dem Vermögens-Stande des Loszukauffenden, oder dem Werth, welchen der Loskauffende darinn setzt, dass dieser, oder jener nicht diene, angemessen sein. Daher hat der Loskauffende das Quantum selbst anzutragen, welches aber nicht eher angenommen wird, als bis es angemessen zu sein scheinet. Auf diese Art wird das Quantum der Loskauffung freiwillig und ist wahrscheinlich dem Vermögens- Stand ohne Fassion angemessen.

Sollte dieser patriotische Vorschlag oder Entwurf die hohe Genehmigung erhalten, so wird die weitere praktische Ausführung desselben nachfolgen. Vor der Hand hat man sich in eine weitere, zergliederte Ausführbarkeit nicht einlassen wollen.

Lemberg, den 15. September 1796.

Lazansky przesłał oba pisma d. 26. września „an einen löblichen k. k. Hofkriegsrath" z następującą notą:

„Mittels des Beischlusses gibt man sich die Ehre das eingelangte Berichtschreiben des ostgaliz. Herrn Landesgouverneurs Grafen v. Gaisruck. wegen des von dem Jude, Berl Joselowich, gemachten Antrags zur Errichtung eines aus Juden zu bestehenden Freikorps, nebst dem dazu gehörigen Plan einem löbl. k. k. Hofkriegsrathe in Freundschaft mitzuteilen, und sich nebst gefälliger Zurückstellung der Kommunikaten dero erleuchtete Wohlmeinung ehemöglichst zu erbitten, um sonach Seiner Majestät den alleruntertänigsten Vortrag hierüber erstatten zu können".

Urzędowa nota „an das k. k. Direktorium" z dnia 5. października orzekała o nadesłanych pismach Gaisrucka co następuje:

„Das mit der gefälligen Nota vom 26. September anhero mitzuteilen beliebte Schreiben des ostgallicischen H. Landesgouverneur Grafen v. Gaisruck, nebst dem Vorschlag eines sichern Berl Joselowich wegen Errichtung eines Juden Frei-Korps hat man die Ehre mit der Erinnerung zurückzustellen, dass S. Maj. auf mehrere alleruntertänigst Ihroselben vorgelegte Pläne zu Frei-Korps Errichtung keine Rücksicht genommen habe, weil solche zu kostspielig sind und zu viele Zeit erfordern, nachdem es gegenwärtig darauf ankommt, die Armee immer auf geschwindeste mit geübter Ergänzungsmannschaft zu unterstützen, damit dem Feind der Widerstand mit unausgesetzter Wirksamkeit geleistet werden könne. Es scheint ausser dem, dass sich keine erspriessliche Dienste von einem Korps zu versprechen sein dürften, welches wie der Herr Landes-Gouverneur selbst die Sprache führt, aus müssigen, lüderlichen, ihren Ältern und Verwandten lästigen Judenpurschen zusammengesetzt werden soll. Was hiebei noch bezüglich mitzuerwägen sein därfe, diess besteht drinn, dass, wenn gleich die Errichtung ein sehr bedenkliches Korps zu Erfolg hätte, wenigstens der grösste Teil hievon bald wieder in das Land zurückkäme, nachdem Frei-Korps nur auf die Zeit des Krieges beibehalten werde, hingegen das Politikum in Gallicien, wie es die bestehenden Befehle mit sich bringen, Gelegenheit genug an der Hand haben därffe, diesen Leuten an der Rural-Ökonomie, Hand-

werk- und Industrial-Beschäftigungen zum Nutzen des Staats zuzuweisen."

Pismem z d. 13. października uwiadamiało Dyrektorium hr. Gaisrucka o odmownej odpowiedzi Rady Nadwornej wojennej.[1])

* * *

W trzynaście lat potem, w pamiętnym 1809 r., legł Berek śmiercią walecznych w zażartej walce pod Kockiem. Urzędowy „Moniteur" w korespondencyi z Warszawy z 19. czerwca t. r. pomieścił następującą krótką notatkę o śmierci Berka: „On regrette généralement le brave chef d'escadron du régiment de Turner (=Turno), M. Berkow, qui a été tué à Kozk en Galicie, après avoir fait avec gloire, depuis quinze ans, toutes les campagnes d'Italie, d'Allemagne et de Pologne. C'est le premier juif polonais qui ait frayé à ses compatriotes de la même religion la route de l'honneur et qui leur ait donné l'exemple d'un courageux dévouement au service de la patrie." [2])

W tych krótkich i lapidarnych słowach pośmiertnego wspomnienia mieści się cała wielkość i niezapomniana zasługa Berka Joselowicza.

Emil Kipa.

[1]) Wiadomość z prot. w Archiw. min. spraw. wewn., którą zawdzięczamy uprzejmości p. Maryana Kukiela.

[2]) Moniteur, 1809, nr. 189, Samedi 8 Juillet.

Anormalna niepoczytność
w projekcie do austryackiej ustawy karnej. [1])

I.

Poczytanie w karnoprawnem tego słowa znaczeniu jest czynnością stwierdzającą, że pewien osobnik ludzki w danym wypadku stał się winnym pewnego zaistniałego zdarzenia stanowiącego treść przestępstwa.

Istotną więc treścią czynności poczytania jest stwierdzenie zawinienia, tak jak istotnym jej celem jest wypośrodkowanie odpowiedzialności karnej.

Z tego określenia wypływa, że aby módz mówić o poczytaniu trzeba koniecznie mieć przed sobą określenie pojęcia „zawinienie", jako wyrazu ujemnego sądu o czynności ludzkiej.

Nie chcąc wchodzić w szczegóły, zaznaczam tylko, że pod zawinieniem w kpr. tego słowa znaczeniu rozumiem: spowodowanie na widowni świata zewnętrznego, przez zachowanie się sprzeczne z obowiązkiem, niezgodnego z prawem stanu rzeczy.

Stwierdzenie zawinienia jest tedy stwierdzeniem pewnego przyczynowego, podmiotowego związku między pewnym człowiekiem a pewnem zdarzeniem, jest odniesieniem pewnego zdarzenia jako skutku do moralnej, duchowej istoty pewnego człowieka jako jego przyczyny.

Stwierdzenie więc zawinienia ma za przesłankę zdolność człowieka stania się moralną przyczyną skutku przestępnego.

Ta to właśnie zdolność człowieka — czyli jego zdolność zawinienia (Deliktsfähigkeit, Schuldfähigkeit) nazywa się poczy-

---

[1]) Artykuł ten jest rozszerzonym i adnotacyami uzupełnionym odczytem, wygłoszonym dn. 16. grudnia 1913 na zebraniu lwowskiego Towarzystwa Prawniczego i Związku adwokatów.

tnością[1]) = Zurechnungsfähigkeit, a podstawa jej — tkwi w duchowej istocie ludzkiej. Chcąc więc określić bliżej poczytność musimy wniknąć w treść tej duchowej istoty. Powszechnie rozróżniają w niej trzy władze zasadnicze: rozum czyli inteligencyę, będącą siedliskiem myśli jako czynnego stanu wyobrażeń; uczucie, które przechodząc w stan czynny staje się pragnieniem, a w dalszem spotęgowaniu popędem — wreszcie wolę, która zpomocą intellektu wybiera między popędami i jako motor ruchowy w człowieku — jako jedyna produkcyjna duchowa władza człowieka — skierowuje zapomocą ruchu ciała działanie ku oznaczonemu celowi.

I tutaj nie będę zapuszczać się w szczegóły. Wystarczy zaznaczyć, że duchowa istota człowieka wchodzi w styczność ze światem zewnętrznym za pomocą wrażeń, które uświadomiwszy się w intellekcie, stają się wyobrażeniami, a wyobrażenia znowu w intellekcie przechodząc w stan czynny stają się myśleniem, które nadaje treść intellektowi — i gdy intellekt jest właśnie doradcą woli przy wyborze między popędami — i gdy wreszcie doświadczenie uczy nas, że wszystko co żyje — rozwija się i dojrzewa i dopiero w stanie dojrzałości jest na prawdę tem czem jest — zatem zdrowie i dojrzałość intellektu jest tem, co w pierwszej linii stanowić może o poczytności człowieka.

Wyrazem zdrowego i dojrzałego intellektu jest intelligencya, która obejmuje w sobie świadomość siebie czyli samowiedzę, i świadomość świata zewnętrznego,[2]) a w nim świadomość związku przyczynowego między działaniem a skutkiem.

---

[1]) Wyrazownictwo polskie w tym kierunku nie jest ustalone. Profesor wszechnicy Jagiellońskiej ś. p. dr. Aleksander Bojarski w Zasadach nauki o poczytaniu wydanych w r. 1872 — mówi o poczytności człowieka na wyrażenie jego zdolności zawinienia, a o poczytalności czynu na wyrażenie, że pewien czyn może być poczytnemu człowiekowi poczytany. Ten sposób wyrażania przyjął w pierwszem wydaniu swego „Wykładu prawa karnego“ także prof. dr. Edmund Krzymuski. Następnie zarzucił to wyrazownictwo i mówi o poczytności człowieka a przypisalności czynu. Ponieważ ten ostatni wyraz nie wydaje mi się odpowiednim, już w moich „Zasadach nauki o wyłączeniu poczytania“ (Lwów 1909) przyjąłem wyrazownictwo ś. p. prof. Al. Bojarskiego i używam go też i tutaj. W dyskusyi po odczycie moim za takiem właśnie wyrazownictwem oświadczył się także prof. dr. Piotr Stebelski.

[2]) Nie wchodzimy tutaj w kwestyę poruszoną przez E. Hartmanna (Die Religion des Geistes, Berlin 1882 str. 149 i n.) czy pierwszą jest świadomość świata zewnętrznego, czy przeciwnie świadomość siebie. Bądź co bądź jedna i druga jest konieczną dla poczytności.

Te trzy świadomości stanowią dojrzałość duchową człowieka, a dojrzałość ta duchowa jest wystarczającą przesłanką dla możności poznania i zrozumienia obowiązków człowieka w społeczności, dla możności poznania i zrozumienia zasadniczych norm etycznych rządzących społecznością — jednem słowem dla rozróżnienia dobrego od złego.[1])

[1]) Już po wygłoszeniu odczytu będącego treścią niniejszego artykułu doszło rąk moich najnowsze dzieło prof. dr. J. Makarewicza „Prawo karne ogólne“, Kraków 1914. W pracy tej, w której, jak wogóle we wszystkiem, co wyszło z pod pióra tego uczonego, każdy szczegół jest głęboko obmyślany, a bardzo jasno przedstawiony, w której znajdujemy zwięźle a mimo tego wyczerpująco i przejrzyście daną odpowiedź na najważniejsze i najżywotniejsze zagadnienia nauki prawa karnego, w rozdz. III. p. t. „Odpowiedzialność podmiotowa“, w § 33 p. t. „Normalny rozwój życia duchowego“, czytamy na str. 111—112, że warunkami poczyt(al)ności są: 1. zdolność należytego pojmowania świata zewnętrznego, 2. zdolność należytego wnioskowania, 3) wrażliwość na pobudki.

Pomijamy kwestyę określenia warunku pierwszego, można bowiem niewątpliwie wyjść z tego stanowiska, że gdy inteligencyą obdarzona jednostka zastanawia się nad sobą samym, i samego siebie odczuwa, temsamem czyni swoje „ja“ przedmiotem poznania tegoż swego „ja“ jako podmiotu, stawia więc niejako swe własne „ja“ na zewnątrz siebie samego, a tak można pod zdolność należytego pojmowania świata zewnętrznego — podciągnąć także zdolność pojmowania i odczuwania siebie samego, czyli samowiedzę. (por. w tej kwestyi wywody prof. dr. Güntera Thiele'go „Die Philosophie des Selbstbewusstseins“, Berlin 1895, str. 5—6 i 367 i nn.) i w ten sposób objąć jednym warunkiem to, co my obejmujemy dwoma warunkami.

Pomijamy również kwestyę określenia drugiego warunku. Należyte wnioskowanie ma niewątpliwie za przesłankę rozumienie związku przyczynowego między działaniem a skutkiem. Natomiast budzi w nas wątpliwości określenie trzeciego warunku jako istnienia wrażliwości na pobudki; zdaje się nam bowiem, że każdy człowiek bezwarunkowo posiada pewną wrażliwość na pobudki, o ile oczywiście abstrahujemy od jakiejś niezwykłej a zupełnej apatyi. Cokolwiek dalej szanowny autor rozwija bliżej swoją myśl. tak, że widzimy już, iż chodzi o wrażliwość na pobudki społeczne — kto tej wrażliwości nie posiada, jest anormalnym (str. 112) ...jest niepoczyt(al)nym (113)! Z tego określenia wypływać by musiało, że każdy przestępca, gdy właśnie działaniem swojem dowodzi braku wrażliwości na pobudki społeczne, jest... anormalnym... i niepoczyt(al)nym!! Sądzimy, że warunkiem poczytności może być nie fakt istnienia wrażliwości na pobudki społeczne, ale zdolność odczuwawania tychże i zdolność rozumienia stosunku działania do norm społecznych a zdolność taką — naszem zdaniem — posiada każdy duchowo dojrzały, umysłowo zdrowy człowiek. Co innego jest nie mieć

Aż dotąd niema różnicy w zapatrywaniu się na niepoczytność między deterministami a indeterministami.

Różnica wyłania się, gdy zwrócimy uwagę na dwie inne duchowe władze człowieka. Zdaniem naszem (indeterministów), wolę należy pojmować jako tę władzę duchową w człowieku, która jest nietylko wyrazem zdolności zamieniania myśli w czyn, ale która posiada oraz wolność, polegającą w zdolności oznaczenia sama z siebie (autonomicznie) myśli w czyn zamienić się mającej, jako tę władzę duchową w człowieku, która posiada moc z własnej autonomii uczynić wybór między podnietami i popędami należącymi bądź to do świata wyobrażeń (Beweggründe) bądź to do świata uczuć (Triebfeder), a to bynajmniej nie z indyferentyzmem, ale zgodnie z wymogami poznanego przez inteligencyę obowiązku; na podstawie tego wyboru powziąć postanowienie i odpowiednio w ruch wprowadzić organizm nerwowy. Tę to zdolność nazywamy p s y c h i c z n ą w o l n o ś c i ą człowieka. A gdy takie przypisujemy własności woli, oczywiście tracą dla nas na znaczeniu w kwestyi poczytności — uczucia. Te mogą być nawet bardzo anormalne, i być źródłem bardzo zbrodniczych popędów. One utrudnią rozumowi i woli współdziałanie w ich pokonaniu, ale nie unicestwią poczytności. O ile zwyciężą, wpłynie ten ich charakter na zmniejszenie winy, ale nie spowodują uniewinnienia.

Wręcz przeciwnie determiniści: widząc w woli — albo tylko ten motor ruchowy w duchowej istocie człowieka, który wprawia w ruch organa cielesne, który wdraża działanie zawsze i koniecznie zgodnie z najsilniejszym popędem, albo nie widząc w niej wcale odrębnej władzy duchowej, a tylko ostatni akt najsilniejszego popędu, oczywiście nie mogą w woli widzieć żadnego czynnika poczytności. Natomiast z natury rzeczy decydujące znaczenie w kwestyi poczytności miałyby mieć uczucia, popędy, ponieważ one w miarę swej siły zmuszają wolę do działania w pewnym właśnie kierunku; jasną jest tedy rzeczą, że anormalne, zbrodnicze uczucia nie mogąc być przezwyciężone spowodowują niepoczytność, niezdolność zawinienia.

---

z d o l n o ś c i, być dostępnym dla oddziaływania motywów etycznych lub prawnych, a co innego b y ć na ich oddziaływanie niedostępnym. Brak zdolności takiej jest rzeczywiście anormalnością duchową (umysłową), natomiast faktyczna niedostępność jest albo wynikiem anormalności duchowej, albo... właśnie oznaką przestępczości i premissą karygodności, ale nie niepoczytności.

I dlatego deterministi określają poczytność jak Liszt po prostu jako „normale Determinierbarkeit“, w którem to określeniu zupełnie wyraźnie wybitne stanowisko przyznano uczuciom, popędom. [1])

I dlatego indeterminiści nawet tak bardzo umiarkowani jak Wahlberg, mówią: „die Freiheit des Willens bildet die tiefste Grundlage der strafrechtlichen Zurechnung“, [2]) lub jak Garraud, że sprawca jest poczytny wtedy, gdy rozumie, że działa źle i działa wolnie, [3]) lub jak Hugo Meyer, że dwa są elementa poczytności: intellektualny „die Einsicht“ i praktyczny t. j. „die freie Willensbestimmung“. [4])

I jeszcze jedno zaznaczyć należy: Determinista Löffler i indeterminista Berner zgadzają się na to, że każdy człowiek umysłowo zdrowy i dojrzały jest poczytny. Ale mylono by się, gdyby sądzono, że dają w ten sposób wyraz temu samemu zapatrywaniu.

Löffler utrzymuje tak dlatego, że niewolna wola nie może wpływać na poczytność będąc zawsze niewolną. Berner natomiast wychodzi z tego zapatrywania, że każdy człowiek dojrzały i umysłowo zdrowy ma temsamem wolną wolę.

Co do mnie — sądzę, że wobec twierdzenia wielu psychiatrów i wobec świadectw takich jak n. p. Ribota w jego „Maladies de la volonte“, [5]) nie byłoby bezpiecznem określać poczytność

[1]) Por. dr. Franz v. Liszt Lehrbuch des deutschen Stafrechts, (13 Aufl., Berlin 1903) str. 163.

[2]) Por. Wilh. Em. Wahlberg Gesamm. klein. Schr. (Wien 1875) I. Bd. Grundzüge der strafrechtl. Zurechnungslehre, str. 33. Tenże w Das Prinzip der Individualisierung (Wien 1869) rozróżnia str. 76 między prawdziwą moralną wolnością a wolnością woli; pierwsza wyklucza możliwość popełniania przestępstw, druga jest podstawą poczytności karnej, pojmuje ją jednak (str. 75) w odróżnieniu od indeterminizmu i materyalizmu jako „Bedingtheit“.

[3]) Por. R. Garraud Traité théorique et pratique de droit pénal français (Paris 1888) str. 322 — tamże nazywa wolę wewnętrzną zdolnością chcenia lub niechcenia.

[4]) Por. Hugo Meyer Lehrbuch d. deutschen Strafr. (Erlangen 1877), str. 140—141 wyraźnie rozróżnia Handlungsfähigkeit od freie Willensbestimmung, będącej wyrazem wolnej woli, bez którego to pojęcia prawo karne obejść się nie może.

[5]) Por. Th. Ribot Les maladies de la volonté (3 ed. Paris 1885), zwłaszcza wypadek opisany na str. 44—46, w którym M. P. wbrew własnemu interesowi a mimo rozumienia tegoż, nie mógł się przełamać do nakreślenia kilku słów — il suait sang et eau — a nie mógł.

tylko momentem intellektualnym: jeżeli bowiem i wola może być chorą, może nie być w stanie naznaczać się sama z siebie, może być przez obce czynniki trzymaną na uwięzi, to oczywiście tego rodzaju stan woli może również spowodować niepoczytność.

Zauważyć zresztą trzeba, że właśnie tylko ze stanowiska indeterminizmu można konsekwentnie i racyonalnie mówić o chorobach woli jako anormalności; ze stanowiska bowiem determinizmu prawo przyczynowości koniecznej rządzi także wolą ludzką zawsze — wola więc nigdy nie może być zdrową w tem rozumieniu tego słowa, by mogła wyłamać się z pod rzeczonego prawa — i swobodnie, autonomicznie wybierać między pobudkami. Rzetelny determinista mógłby nazwać chorobą woli, chyba brak wrażliwości na pobudki moralne, społeczne. Ale tego rodzaju określenie choroby woli byłoby bez wartości praktycznej dla prawa karnego; każde bowiem przestępstwo dowodzi w danym wypadku braku należytej, potrzebnej wrażliwości na takie pobudki; konsekwentnie więc musielibyśmy dojść do rezultatu, że gdy każde przestępstwo dowodzi braku „normalnej wrażliwości“ u danego osobnika — każdy przestępca musiałby eo ipso być uznawanym za niepoczytnego.

Całkiem inaczej ma się rzecz ze stanowiska indeterministycznego, które uznaje istnienie w człowieku t. zw. autonomii woli, to jest władzy panowania za pomocą woli nad pobudkami i skłonnościami. Z tego stanowiska wychodząc, w przypadku zaistnienia przestępstwa — gdy odpowiedź na pytanie co do istnienia intellektualnego czynnika poczytności (samowiedzy, rozumienia świata zewnętrznego, możności trafnego wnioskowania i możności rozróżniania dobrego od złego, bezprawia od tego co prawne i dozwolone, zdolności pojmowania norm społecznych, etycznych) wypadła potwierdzająco — da się jeszcze usprawiedliwić pytanie, czy też pobudki skłaniające do popełnienia czynu karygodnego nie były tak niezwykle silne, że wola danego osobnika byłaby musiała wznieść się do niezwykłego stopnia siły, by stawić im skuteczny opór, do takiego stopnia siły, którego od człowieka przeciętnego wymagać nie można.

I jeżeli taki właśnie stan rzeczy stwierdzimy — przecież nie mówimy o niepoczytności, właśnie dlatego, że zasadniczo, abstrakcyjnie, wola zawsze może się oprzeć, gdy tylko odpowiednio się natęży — a tylko mówimy o ekskulpacyi z powodu zaistnienia nieodpornego przymusu psychologicznego (będą to przeważnie pewne wypadki t. zw. wyższej konieczności, poważnej groźby i t. d.).

I zasadniczo z tegoż stanowiska indeterministycznego da się usprawiedliwić pytanie, czy też wyjątkowo wola. która w regule może się oprzeć pobudkom niemoralnym, która w regule może pokierować działaniem w duchu żądań prawa — czy jednak, powiadamy, wyjątkowo wola danego osobnika nie była dotknięta defektem takim, że pozbawioną była tej prawdziwej swej autonomii, tej zdolności kierowania organami ciała, odpowiednio do tego, co intellektem rozeznanem zostało jako działanie zgodne z wymogami prawa.

Dzisiaj zdaje się przeważać w nauce psychiatryi zdanie, że n. p. t. zw. szały bez obłędu, zwłaszcza t. zw. jednobłędy (maniae sine delirio, monomaniae), a tem bardziej t. zw. obłąkanie moralne (moral insanity) nie są specyficznie chorobami woli, lecz są częściowym przejawem zboczenia dotykającego całego ustroju duchowego — i nam wydaje się to właśnie zdanie najracyonalniejszem. Przypuszczamy jednak możliwość, że kiełkująca już w organiźmie duchowym człowieka choroba przejawia się właśnie najpierw na zewnątrz w dziedzinie czynnika woli. Bądź co bądź, jak długo kwestya ta nie jest zupełnie stanowczo przez kompetentne czynniki rozstrzygniętą — w myśl zasady *in dubio pro reo* — oświadczamy się za tem, by określać poczytność nie tylko czynnikiem intellektualnym, ale także czynnikiem woli. W drugiej tedy linii obok zdrowia i dojrzałości intellektu stanowić będzie o poczytności istnienie autonomii woli, t. j. zdolność woli kierowania działaniem, odpowiednio do rozeznania. [1])

[1]) Takie określenie pozwala nam uwzględnić i te wypadki, w których nie może być wprawdzie mowy o chorobie woli, (które to pojęcie mieści w sobie zawsze coś trwalszego), ale w których wola zdrowego i przytomnego zresztą człowieka jest niejako na uwięzi trzymaną przez czynniki obce.

Taki wypadek zachodzić ma n. p. w stanie suggestyi hypnotycznej — kiedyto wola hypnotyzera ujarzmia wolę osoby zahypnotyzowanej, która po przebudzeniu się, już w stanie przytomności umysłowej, z pełną świadomością „musi" spełniać to, co jej nakazano w czasie, gdy była pogrążoną w śnie hypnotycznym. Wypadki takie mają się zdarzać. (Por. prof. Makarewicz: Prawo karne ogólne. Kraków 1914, str. 124—125). Nie ma tu miejsca przymus fizyczny. Wyłączenie poczytania nastąpi z powodu niezdolności do funkcyonowania psychologicznego czynnika woli. Jest to szczególny przypadek nieodpornego przymusu psychologicznego. Sprawcą (nie fizycznym ale) moralnym i odpowiedzialnym byłby hypnotyzer.

Czy jednak już sama możność ulegnięcia takiej suggestyi hypnotycznej nie jest oznaką anormalności umysłowej, czy więc jest naprawdę

Wychodząc z tego zapatrywania, że te trzy zasadnicze władze duchowe człowieka, jakkolwiek rozważane abstrakcyjnie, każda dla siebie mają odrębne cechy i zadania — to jednak konkretnie stanowią łącznie jedność życia duchowego człowieka i wzajemnie na siebie oddziaływać muszą — określam poczytność czyli zdolność zawinienia jako psychiczne zdrowie. Jeżeli więc pod umysłem rozumie się intellekt, a pod duchem trójcę intellektu, uczucia i woli, to każdy człowiek dojrzały i duchowo zdrowy jest poczytny.

A teraz zaznaczywszy, że to przypuszczenie poczytności jest tylko przypuszczeniem faktycznem a nie presumpcyą prawną, [1] przechodzę do przyglądnięcia się projektowi ustawy.

II.

Zanim przejdę do postanowień projektu, godzi się zapytać, czy i w jakim kierunku w tej właśnie kwestyi kodeks obowiązujący potrzebował zmiany.

Przed wszystkiem stwierdzić należy, że nie daje on bynajmniej określenia poczytności. I czyni to słusznie. Nie jest to rzeczą ustawy karnej określać pozytywne warunki poczytności. Wystarczy zupełnie, gdy ustawa określa te wypadki — wyjątkowe, w których jej postanowienia nie mogą być do pewnego osobnika zastosowane właśnie dlatego, że nie posiada on zdolności zawinienia. Projekt idzie tą samą drogą.

Obowiązujący kodeks idzie jednak dalej. Nie określa on wcale nawet tych momentów, które wykluczają poczytność a więc zdolność zawinienia wogóle. Mówi tylko o okolicznościach, wyłączających zły zamiar, tak, że musiały powstać i powstały wątpliwości, czy postanowienia te mają zastosowanie również do występków i przekroczeń wogóle, a w szczególności do winy nieumyślnej. [2])

---

tylko uwięzieniem woli — dzisiaj nie jest jeszcze kwestyą dostatecznie w nauce wyjaśnioną.

[1]) To znaczy, że gdy tylko wątpliwość co do poczytności nawet dojrzałego i na pozór umysłowo zdrowego człowieka zostanie podniesioną — musi być odnośne dochodzenie przeprowadzone.

[2]) Wątpliwości te nasuwają się tem snadniej, że §§ 237., 269. i 273. wspominają o § 2. d) bezpośrednio lub pośrednio; natomiast § 2. lit. a), b), c) nie wspomniane nigdzie w II. części kodeksu; § 239. wspomina wyraźnie tylko §§ 5—11., przemilcza o § 2.

Gdy dodamy, że w § 2. ob. kod. k. pod nagłówkiem „powody wyłączające zły zamiar", wymienione są także i te okoliczności, które wyłączają tylko bezprawność albo nawet tylko karalność działania n. p. w wypadkach obrony koniecznej lub działania w stanie konieczności (względnie pod nieodpornym przymusem), a więc wypadki, w których dane działanie jest niewątpliwie zamierzonem a nawet poczytalnem, musimy uznać, że już z tego powodu § 2. domagał się zmiany w samymże układzie.

Ale i określenie powodów wyłączających rzekomo tylko zły zamiar a naprawdę zawinienie wogóle — nie jest bez zarzutu.

Możemy mianowicie warunki uzasadniające wyłączenie poczytności, a więc kryterya niezdolności do zawinienia zestawić trojaką metodą:

1. metodą biologiczną — a więc psychiatryczną, która zadawalnia się wymienieniem choroby umysłowej (lub chorób), jako możliwej lub koniecznej przyczyny niepoczytności.

2. metodą psychologiczną, która mówi o stanach psychicznych, będących już następstwem choroby.

3. metodą mieszaną, która podaje łącznie zasadnicze stwierdzenia biologiczne i zasługujące na uwagę momenta psychologiczne.

Metoda pierwsza jest mojem zdaniem nieodpowiednią, ponieważ ścisłe konsekwetne jej zastosowanie oddaje rozstrzygnięcie kwestyi poczytności wyłącznie w ręce psychiatrów. Gdy bowiem ustawa mówi jak n. p. francuska w art. 64.: „nie ma ani zbrodni ani występku — (przekroczenia nie wymienia) — gdy czyn popełniony został w obłąkaniu (démence)" — lub jak proj. szwajcarski z r. 1908 „Kto w chwili spełnienia czynu był albo chorym na umyśle albo idyotą (blödsinnig) albo miał świadomość ciężko przyćmioną (im Bewusstsein schwer gestört war) nie jest karalnym" — toć oczywiście, gdy lekarz podobny stan stwierdzi, sędzia nie ma już nic do mówienia — powinien orzec niepoczytność.

Metoda druga, psychologiczna, grzeszy tem, że nie podaje właściwego źródła niepoczytności, a gdy przytem jak austryacka z r. 1852 używa wyrazów niecałkiem ścisłych i odpowiednich, nie daje punktu oparcia ani znawcy ani sędziemu. Zupełne pozbawie-

---

a i brzmienie § 238. wzmacnia te wątpliwości — a przecież Herbst Dr. Eduard Handbuch d. allg. oest. Strafr. II. Bd. (Wien 1859) str. 19 przy § 238. słusznie podnosi, że § 2. a), b), c) ma pełne zastosowanie i do występków i do przekroczeń.

nie rozumu z § 2. a) lub przemijające pomięszanie zmysłów z § 2. b) lub obłąkanie zmysłów z § 2. c), to są wszystko niezbyt wyraźnie określone tylko psychologiczne objawy chorób.

Kodeks obowiązujący popełnia przytem ten jeszcze błąd, że mówi tylko o objawach psychologicznych odnoszących się do intellektu wyłącznie, nie zaznaczając nawet przyczyn tychże objawów psychologicznych (z wyjątkiem pijaństwa), pomija zaś w zupełności objawy psychologiczne, mające swe źródło nie w intellekcie, lecz w czynniku woli, co jest tem dziwniejsze, że brzmienie drugiego zdania § 2. c) pozwala uwzględnić sferę uczuciową. Wreszcie nieuzasadnienie wyklucza poczytność tylko przy najwyższem napięciu zjawisk psychologicznych.

Najodpowiedniejsza tedy jest metoda trzecia: mieszana — tak z powodu większej dokładności i jasności, jak i dlatego, że odgranicza w sposób zupełnie racyonalny zadanie znawcy a sędziego. Pierwszy określi stan biologiczny; drugi będzie badał, czy stan ten miał wymagane następstwa psychologicznej natury. [1])

---

[1]) W kwestyi tego podziału czynności wyrażono rozmaite zapatrywania w ciągu dyskusyi na posiedzeniu austr. związku kryminal. w dn. 9. i 10. list. 1910 we Wiedniu.(Por. Oest. Zeitschrift f. Strafr. II. Jahrg. str. 59—87). prof. Lenz (str. 73) wyraźnie oświadczył się za podziałem czynności, jak w tekście. Z tegoż stanowiska wychodzą motywa. Por. Erläut. Bemerkungen. Wien 1910. str. 7. Psychyatrzy w ciągu obrad kongresu austryackiego żądali nawet wyraźnego rozgraniczenia kompetencyi; żądanie to nie zostało w projekcie ustawy uwzględnione, co „motywa“ uwzględniają tem, że takie rozgraniczenie wypływa z ogólnych zasad procesu karnego. I rzeczywiście brzmienie § 134. ob. p. k. bardzo wyraźnie określa zadanie lekarzy-znawców. Prof. Wagner-Jauregg w dyskusyi w czasie wyż wspomnianego posiedzenia i w referacie swym, zamieszczonym p. t. Der Zurechnungsunfähigkeitsparagraph im Strafg-E. w Oest. Z. f. Strfr. (str. 23) podnosił, że praktyka polegająca w tem, że sędzia pyta wprost lekarza o poczytność — jest złą i sprzeczną z ustawą; złą dlatego, że psychiatra nawet będąc indeterministą co do swej osoby, ze stanowiska medycyny jako części nauk przyrodniczych musi się opierać na hipotezie determinizmu i nie może udzielić sędziemu pomocy w kwestyi subjektywnego zawinienia. Wbrew prof. Wagnerowi utrzymywali prof. Löffler i sędzia dr. Lichtblau, że praktyka i nadal musi pozostać tą samą, że ostatecznie lekarze będą opiniować a sędziowie rozstrzygać. Zdaniem naszem całkiem ścisłe rozgraniczenie przeprowadzić się nie da: sumienny sędzia niewątpliwie pytać będzie lekarza i nadal także o istnienie lub nieistnienie wymaganych momentów psychologicznych ale przed rozstrzygnięciem musi i sam zbadać tę kwestyę ze stanowiska jurydy-

Według metody psychologicznej i to w najskrajniejszym kierunku określa pozytywnie poczytność z zupełnie jasnem zajęciem stanowiska indeterministycznego kodeks portugalski z r. 1884' który w art. 26. mówi: przestępcami mogą być tylko osoby, które mają potrzebne rozeznanie i wolność woli.

Ściśle według metody biologicznej określa niepoczytność kodeks norwegski z r. 1902 w § 44.: czyn jest bezkarny, gdy sprawca przy jego popełnieniu był chory na umyśle, nieprzytomny lub gdy był niepoczytnym z powodu niezupełnego rozwoju sił duchowych lub tychże osłabienia względnie chorobliwego zaburzenia:

Projekt obrał całkiem słusznie metodę najlepszą, bo mieszaną, [1]) idąc w tym względzie za wzorem tej samej metody trzymających się — ustawy niemieckiej z r. 1871 § 51., rosyjskiej z r. 1903 § 39., Stanu New-York z r. 1881 §§ 20. i 21.; finlandzkiej z r. 1889 § 3., meksykańskiej z r. 1871 art. 34. i t. d. [2])

---

cznego, sędziowskiego — podczas gdy co do istnienia lub nieistnienia momentów biologicznych decydującem musi być orzeczenie lekarskie.

[1]) Prof. Dr. Lenz Adolf w Oest. Z. f. Strfr. z r. 1911 Die Zurechnungsfähigkeit... str. 49, mówi, że metoda biologiczna nie wystarcza, bo przy karno-prawnem poczytaniu chodzi właśnie przedewszystkiem o obecność lub nieobecność owych sił duchowych, które umożliwiają działanie zgodnie z wymogami porządku prawnego.

[2]) Szczególnie dobrem wydaje się nam określenie § 39. kod. k. rosyj. (Ugolownoje Uloženje): „Karygodny czyn nie ma być sprawcy poczytany, gdy tenże w chwili jego spełnienia z powodu chorobliwego zaburzenia czynności duchowych, albo z powodu nieprawidłowego rozwoju, spowodowanego cielesnemi ułomnościami lub chorobą, nie mógł rozumieć natury i znaczenia swego czynu lub nie mógł panować nad swoimi czynami...." — Zwłaszcza czynnik woli jest tutaj bardzo zręcznie ujęty i sformułowany.

Kodeksy niemiecki (§. 51.) i węgierski (§ 76.) obok czynników biologicznych wymieniają tylko czynnik psychologiczny, tkwiący w woli i mówią o wyłączeniu „der freien Willensbestimmung". — Ze stanowiska indeterministycznego to nieosobowe wyrażenie „wyłączenie wolnego naznaczania woli" wydaje się nam o wiele poprawniejszem, niż wyrażenie zastosowane w projektach austr. z r. 1889 i 1909. zdolność „seinen (sprawcy) Willen (frei) zu bestimmen". — Por. co do tej kwestyi poniżej w tekscie. — Chybionem jest pominięcie intellektualnego momentu psychologicznego.

Nieodpowiedniem jest też w obydwu kodeksach umieszczenie odnośnych paragrafów pod napisem ogólnym „Powody wyłączające karę". Brak poczytności wyłącza przedewszystkiem winę, a gdzie niema winy

Projekt w § 3. mówi p. n. „Poczytność“: „Bezkarnym jest. kto w czasie spełnienia czynu z powodu zaburzenia umysłu, słabości umysłu lub zaburzenia świadomości nie posiadał zdolności zdania sobie sprawy (rozeznania) z nieprawności swego czynu, albo nie miał zdolności działania odpowiednio temu rozeznaniu. [1])

Do tego brzmienia projektu rządowego Izba panów dołożyła następujące postanowienie:

Kto się wprawia w stan zaburzenia świadomości, aby pewien czyn popełnić, ma zań odpowiadać. [2])

Przypatrzmy się bliżej tym postanowieniom.

Zawierają one przedewszystkiem oznaczenie tych stanów biologicznych, których stwierdzenie jest zadaniem psychiatry. Ponieważ zaburzenie umysłu w ciaśniejszem tego słowa pojęciu oznacza tylko nabyte choroby umysłowe — osobno wyraźnie wspomniany jest stan słabości (niedołęstwa) umysłu. który obejmuje: debilitas. imbecillitas (głupowatość) i idyotyzm. Oznacza ono wogóle brak sił w dziedzinie życia duchowego, n. p. zasadnicze wstrzymanie rozwoju w młodzieńczości lub nawet starcze zwyrodnienie Entartung).

Nawet wyraźne wspomnienie tych dwu stanów, wskazujących na stany chorobliwe jeżeli nie trwałe. to w każdym razie dłuższy czas trwające, nie wyczerpywałoby jeszcze wszystkich zaburzeń życia duchowego. spowodowujących niepoczytność. I dlatego jeszcze osobno wyraźnie wspomniane są stany zaburzenia świadomości. Spowodowane one bywają n. p. upiciem się, nocobłędem, przez hypnotyzm i t. d.

Projekt ustawy, zgodnie zresztą z innemi starszemi i nowemi ustawami nie wchodzi bliżej w nomenklaturę rodzajów chorób i zaburzeń umysłowych. a motywa tylko z lekka, powierzchownie kwestyi tej dotykają. I słusznie. Nauka psychyatryi, jak wszystkie nauki przyrodniczo-psychologiczne, postępuje dzisiaj niezwykle szybkim krokiem naprzód. Nie byłoby więc wskazanem wymieniać w ustawie szczegółowo przeróżne rodzaje zboczeń duchowego życia

---

ani przestępstwa, niema miejsca dla kary, podczas, gdy kara może być wyłączona mimo zaistnienia winy i przestępstwa.

[1]) Projekt: 2. Abschnitt — Zurechnungsfähigkeit § 3. Wer zur Zeit der Tat wegen Geistesstörung, Geistesschwäche oder Bewusstseinsstörung nicht die Fähigkeit besitzt das Unrecht seiner Tat einzusehen oder dieser Einsicht gemäss zu handeln, ist nicht strafbar.

[2]) Wer sich in den Zustand einer Bewusstseinstörung versetzt, um die Tat zu begehen, hat sie zu verantworten...

człowieka. Zaburzenia umysłu, słabość umysłu, zaburzenia świadomości, oto trzy określenia zasadnicze, które wystarczają, by objąć niemi wszystkie możliwe nieprawidłowości w duchowem zdrowiu ludzkiem.

Kilku słowy jednak — w charakterze objaśniającym, kwestyi powyższej w tem miejscu dotknąć wypada.

Można — zdaje się — jako zasadniczą regułę postawić, że zgodnie z samą nazwą „choroby umysłowe“ wszystkie zboczenia duchowego życia, o ile powodują niepoczytność, koncentrują się i tkwią w myślowej władzy człowieka. w dziedzinie jego wyobrażeń. Czucia zmysłowe i uczucia psychiczne, mogą i często bywają źródłem tych zboczeń, a następstwem ich bywa zmiana w charakterze woli: jej przygnębienie lub podniecenie; — ale samo zboczenie tkwi w dziedzinie myśli i wyobrażeń. Dlatego też nie należy mówić zasadniczo o chorobach czuciowych lub uczuciowych ani też o chorobach woli.

Omamy (hallucynacye) i złudzenia zmysłowe (illuzye), z których pierwsze są wyobrażeniami zmysłowemi. odnoszonemi na zewnątrz ale powstającemi bez wpływów zewnętrznych, drugie są fałszywem tłumaczeniem sobie rzeczywistych zjawisk zewnętrznych, same przez się nie dowodzą jeszcze stanu chorobowego, a jak długo nim nie są, mogłyby spowodować niepoczytalność czynu (z racyi błędu), ale nie niepoczytność sprawy. Tak samo apatya jako objaw depresyi woli, lub dążność do nieustannej działalności jako objaw podniecenia woli, same przez się nie są jeszcze oznaką stanu chorobowego, mogą uzasadnić w danym wypadku poczytanie niższego stopnia winy, ale nie mogą jako takie stanowić o zdolności zawinienia.

Dr. A. Rothe (Psychopathologia forensis, Kraków 1879), dzieli wszystkie choroby umysłowe na trzy główne grupy; 1. Choroby umysłowe z przygnębieniem. Do nich zalicza wszelkie rodzaje melancholii (lypemanii) czyli zadumy, a jako podrzędny rodzaj: hypochondrię (śledziennictwo). 2. Choroby umysłowe z podnieceniem, do których należą różne gatunki szaleństw (mania furibunda) i obłąkanie ogólne (mania generalis). 3. Choroby umysłowe z otępieniem (dementio), do których zalicza obłąkanie częściowe, spaczenia umysłu, czyli pomieszanie ogólne, dalej niedołęztwo umysłu (Blödsinn), wreszcie idyotyzm i karłactwo (niedołęstwo wrodzone i kretynizm). Osobno wymienia. Bezwład ogólny postępowy (paralisis progressiva), który skoroby się pojawił (co rzadko ma miejsce, str. 126), jako zwiastun choroby umysłowej, zasługiwałby na

uwzględnienie w kwestyi ocenienia poczytności, dalej padaczkę (epilepsis) i macinnictwo (histeris), które również same przez się nie uzasadniają niepoczytności.

Także E. Wulffen w dziele swem „Psychologie des Verbrechens" (Gross-Lichterfelde. — Ost 1908, str. 162—185 tomu I.) poleca tylko sędziom szczególne zwracanie uwagi na charakter życia duchowego u epileptyków i histeryków, których często należy uznać za niepoczytnych.

Wszystkie te kwestye należą raczej do dziedziny medycyny sądowej. Rzeczą psychiatry-lekarza, a nie sędziego — jest stwierdzenie, czy istnieje moment biologiczny, mający wpływ na poczytność.

Najdrażliwszą jest kwestya oddziaływania sfery uczuciowej, na całość życia duchowego. Na szczególniejszą uwagę zasługują tu z jednej strony uniesienia (affectiones), z drugiej strony namiętności (passiones).

Namiętności przedstawiają się nam jako długotrwałe dążności, które powoli powstają, ustalają się tem więcej, im więcej się im zadość czyni. Namiętności mają przed sobą cel wytknięty. Z tego określenia wypływa, że znajdują się one pod wpływem woli, która może, bo ma czas je opanować. Namiętność tedy jest stanem niemoralnym, a nie stanem anormalnym.

Namiętność jako taka nie znosi poczytności.

Uniesienia czyli silne wzruszenia, affekty, są to nagłe wzburzenia, wstrząśnienia uczuciowości, a ponieważ powstają najczęściej niespodzianie, może być często niezwykle trudną rzeczą bezzwłoczne ich pokonanie, uśmierzenie przez energię woli.

Bądź co bądź afekt sam przez się nie może uzasadnić niepoczytności,[1]) o ile nie jest przejawem ogólnego lub częściowego zboczenia umysłowego.

---

[1]) Dr. Alb. Friedr. Berner, Lehrbuch des Strafrechtes, Leipzig 1857, str. 114 — mówi, że „najwyższy stopień afektu wprawia człowieka w stan zaciemnionej świadomości, a więc czyni go niepoczytnym". W uwadze zaznacza, że mogą to zdziałać także wysoki stopień gniewu lub strachu, lecz, że słusznie Leonhardt w komentarzu do pruskiej ustawy karnej podnosi, iż nie byłoby bezpiecznem przyznawać afektowi gniewu możność spowodowania niepoczytności, bo wtedy złośnik miałby tem mniej powodów opierać się opanowaniu przez ten afekt. Prof. Makarewicz w najnowszem swem dziele powyżej cytowanem mówi (str. 121—123) o afekcie tylko jako o czynniku wyłączającym w pewnych wypadkach karę, lub spowodowującym jej złagodzenie, a jedynie nawiasowe zaznaczenie, że w danem miejscu (str. 122) mówi o afekcie nie wykluczającym poczytalności sprawcy, po-

Nawet wtedy, gdy afekt wzniesie się do takiego stopnia siły, że powoduje zupełnie ślepe zapomnienie się, nie można mówić o braku poczytności. Dopiero z chwilą, gdy stwierdzić można tak silne a gwałtowne wstrząśnienie nerwowe, iż czyn przedstawia się jako bezwiedny z powodu zupełnego zaniku działalności rozsądku, z powodu zupełnego zniesienia świadomości (przytomności), z tą dopiero chwilą może powstać kwestya poczytności sprawcy, przyczem sędzia zawsze będzie musiał baczną zwrócić uwagę na całość psychicznego stanu danego osobnika, na pobudki działania i na przyczyny, które wywołały uniesienie; te bowiem okoliczności towarzyszące czynowi, pozwolą stwierdzić, czy i w jakim stopniu zaistniał brak świadomości, czy i w jakim stopniu możliwą była interwencya woli, a w następstwie, czy ma orzec niepoczytność, czy tylko inną kwalifikacyę winy, czy tylko inny wymiar kary.

Wracamy do projektu ustawy.

Uderzać może, iż nie dodano przymiotnika ciężki przy dwu pierwszych stanach, a że przy oznaczeniu trzeciego stanu nie użyto wyrażenia zanik zupełny świadomości (Bewusstlosigkeit), a zastąpiono go przez zamącenie świadomości (Bewusstseinsstörung).

Zwracamy więc przedewszystkiem uwagę na charakterystyczny dodatek przy „Einsicht in das Unrecht“ — „seiner Tat“. Tym dodatkiem ustawa zaznacza, że chodzi o poczytność konkretną, w stosunku do danego właśnie czynu. Ten mały, a tak ważny dodatek sprawia, że nie należy żywić obaw, jakoby brzmienie ustawy nie wyczerpywało przyczyn niepoczytności. Są bowiem niewątpliwie przestępstwa tego rodzaju, że nawet niezupełne, niecałkowite obłąkanie, nawet niezupełne zamącenie świadomości może uzasadnić niepoczytność względem tych przestępstw. Trzeba całkowitej nieprzytomności sprawcy, by uznać jego niepoczytność przy zabójstwie; zamącenie świadomości wystarczy, by uznać sprawcę niepoczytnym w stosunku do obrazy i t. d.

---

zwala wnioskować, że autor przyznaje afektowi także własność, możliwości wyłączenia poczytności. Wolelibyśmy widzieć tę kwestyę jasno rozstrzygniętą. Nasuwa się przedewszystkiem kwestya, czy tylko uczucia asteniczne, czy także i steniczne mogą, gdy dojdą do stopnia afektu odbierającego przytomność umysłu, powodować niepoczytność. Wychodząc z zapatrywania, że człowiek ma władzę wolą swoją nawet najgwałtowniejszy afekt poskromić i zapanować nad nim, nie można przyznać afektowi nawet najsilniejszemu właściwości wykluczenia poczytności w całej pełni. Natomiast czyn popełniony w silnym afekcie, może wykluczać możność poczytania go za winę umyślną, zły zamiar.

Gdy dalej zważymy, że psychiatrzy (jak to słusznie podnoszą motywa), [1]) mają swoją nomenklaturę dla swoich celów lekarskich ustaloną, nie zawsze przymiotnik „ciężki“ stwarzałby pojęcie bezwzględnej niepoczytności, a naodwrót może ona mieć miejsce w mniej ciężkich wypadkach, w mniej ciężkich jako choroba. [2])

Momenta biologiczne znajdują uzupełnienie w momentach psychologicznych. Orzeczenie znawców da sędziemu substrat do zrozumienia i ocenienia momentów psychologicznych, a dopiero na tej podstawie sformułowane orzeczenie sędziego będzie decydującem. (Por. wyżej w notce.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dr. Jan Paygert.

[1]) Por. j. w. str. 7, Erläuternde Bemerkungen. Motywa (sprawozdanie) do projektu z r. 1912, nie różnią się prawie w niczem od motywów do projektu z r. 1909; o ile są identyczne, cytuję z motywów z r. 1909 (1910).

[2]) Ze stanowiska lekarskiego choroba może być lekką, bo n. p. łatwo i szybko uleczalną, a jednak w razie trwania może powodować zupełną niepoczytność.

Kultura przedhistoryczna Podola galicyjskiego.

(Dokończenie.)

V. Horodyszcza — twierdze przedhistoryczne.

W wędrówkach po kraju naszym trafia się bardzo często na opuszczonych wzgórzach, w lasach, w miejscach, leżących zdala od siedzib ludzkich, a nieraz i polach uprawnych, na najrozmaitsze usypiska ziemne, złożone z całych szeregów wałów, fos i obwarowań, wskazujących, iż budowle podobne celowo wzniesione zostały olbrzymim nieraz nakładem pracy. Do czego służyć one miały, nie odrazu powiodło się wyjaśnić nauce. Ogólnie rozpowszechnione było dawniej pezekonanie, iż wały takie służyły ludności przedhistorycznej, jako miejsca obrzędów religijnych, roków sądowych i siedziby naczelników. Nowsze jednak badania wykazują, iż zadaniem ich była najczęściej obrona ludności w czasach wojennych, kiedy to na dany znak trwogi porzucało wszystko swe siedziby i kryło się poza murowane wały, fosy i palisady. Wały te stanowiły warownie przedhistoryczne, t. zw. dziś horodyszcza. Znane są jednak obwałowania tak małe, iż stanowczo nie mogły służyć jako miejsca obronne, wobec czego przypuszczać można, iż były miejscami świętemi, oddanemi na rzecz kultu, lub na zebrania, narady, sądy i t. p. Największa jednak ilość horodyszcz, tak licznych zwłaszcza w wschodniej części kraju, to dawne warownie, jak o tem najdowodniej przekonuje ich obronne z natury położenie, tudzież sposoby, jakimi człowiek usiłował uczynić je jak najbardziej niedostępnemi, jak najbardziej warownemi.

Opowiadania ludowe łączą zazwyczaj z horodyszczami nie jasne wspomnienia o ich znaczeniu kiedyś jako grodach warownych. Opowiada też lud, iż śladami są dawnych miast zrujnowanych przez Tatarów, lub zapadłych za karę w ziemię. Na wielu horody-

szczach słyszeć można w dnie niektóre dźwięk dzwonów, rozlegający się pod ziemią w kościołach, które wraz z grzesznemi miastami pochłonąć miały otchłanie ziemne z karzącego dopustu bożego. Ludne i bogate miały być ongiś te grody, bo w miejscu, gdzie się rozlegały, znajdować się mają wielkie skarby ukryte, za którymi nieraz już kopali ludzie najrozmaitsi, odstraszeni od tego snami groźnymi lub widziadłami strasznemi. I nie rzadko widzieć można pośrodku płaszczyzny, ujętej wałami, kupy gruzu, wydobytego z ziemi i odrzuconego na bok przez niefortunnych poszukiwaczy złota ukrytego; lud powiada też nieraz, iż o ile już powiedzie się komuś o północy natrafić na skarby, to uważać musi, by za odezwaniem się koguta, daleko był od miejsca tego nieczystego, albo w przeciwnym razie złoto wydobyte zamienia się w gruzy i kamienie. Złotem takiem mają też być owe gruzy, które widzieć można nierzadko na horodyszczach naszych. Opowiada jeszcze lud prosty o zakopanych bramach żelaznych, które prowadzą do wnętrza chodników podziemnych, ciągnących się pod powierzchnią horodyszcz. W podziemiach tych złożone są oczywiście skrzynie ze złotem i skarbami ogromnymi, a także masy broni i dobytku najrozmaitszego. Wprawdzie nie znalazł się jeszcze ktoś taki, którýby oglądać miał kiedyś cudy te wszystkie, ale niemniej istnieją one w fantazyi ludu, który mnóstwo zna na ten temat opowiadań, zajść, przygód i snów tajemniczych.

Ziarnko prawdy mieści się w podobnych podaniach o tyle, że grodziska te istotnie roiły się kiedyś od ludzi i że człowiekowi zawdzięczają one swe pochodzenie. Zabytki, któreby w stanie były wyjaśnić kwestyę ich pochodzenia, są na razie bardzo nieliczne, ale zwłaszcza fragmenty ceramiki wskazują, iż sięgają one najczęściej ostatniej epoki przedhistorycznej, t. zw. czysto-słowiańskiej. Na wielu jednak trafiają się wyroby kamienne, bronzowe i żelazne, wskazujące iż pochodzeniem swem sięgają te warownie bardzo odległych nawet czasów przedhistorycznych. Najwięcej ich jednak pochodzi z końca doby przedhistorycznej, stanowiąc typowy zabytek dla tej epoki, już całkowicie słowiańskiej.

Do najdawniejszych obwałowań tego rodzaju należą u nas wały w okolicy wsi K o l e n d z i a n [1]) (pow. Czortków) i pod wsią K o c i u b i ń c z y k i (pow. Husiatyn). [2]) Dwa istniejące w Kolendzianach szańce przedhistoryczne znane są w okolicy pod nazwą „Wa-

[1]) Zbiór wiadom. do antr. 1881, XV, 11—13 (rys.).
[2]) Zbiór wiad. XV. 13—15, 16—17. 82.

łów wielkich" i „Wałów mniejszych". Oba leżą w połudn.-zachodniej stronie wsi Kolendzian, o parę kilometrów odległe od siebie w kierunku północno-południowym.

„Wały wielkie", od których sama miejscowość, w której one występują otrzymała tę samą nazwę, leżą na wyniosłości mającej lekką pochyłość od wschodu ku zachodowi. Środek tego szańca stanowi kolisty wał wewnętrzny, mający średnicy 64 m. Wschodniemi częściami swemi, opiera się wał ten o punkt najwyższy miejscowości, skąd rozpoczyna się pochyłość terenu ku zachodowi. Wysokość tego wału, z małemi zmianami, wynosi przeciętnie $1^1/_3$ m., a grzbiet jego ma tyleż mniej więcej szerokości. Na całym jego okręgu niema nigdzie żadnej przerwy. Od strony wschodniej, wał ten obwarowany jest wałem drugim, bocznym, podobnej z nim wysokości i szerokości, który nie leżąc względem niego równolegle, oddala się lub zbliża rozmaicie, a północnym i południowym swym końcem zupełnie się z nim łączy. Największa odległość pomiędzy tymi wałami znajduje się od strony południowej i wynosi 35 m. Przestrzeń nakoniec obu tymi wałami objęta, okolona jest następnie wałem trzecim zewnętrznym, który ją otacza w kształcie pierścienia, nie mającego jednakże formy zupełnie prawidłowego koła. Trzeci ten wał różni się od poprzednich tem, że nie jest wszędzie sypany, lecz w wielu miejscach uzupełniają go pagórki naturalne. Od strony zachodniej są w nim dwie blisko siebie leżące przerwy, mające po kilka metrów długości i tworzące niby wjazd do wnętrza okopów. Od strony wschodniej, między wałem drugim a trzecim, czyli zewnętrznym, znajduje się wielkie zagłębienie, dochodzące do 4 lub 5 metrów, tworzącej rodzaj zasieki obronnej. Cała przestrzeń tych okopów objęta wałem ostatnim wynosi w kierunku zachodnio-wschodnim około 140 m., a od północy ku południowi, metrów 130.

Próby badań, dokonane w kilku punktach wału wewnętrznego, okazały, że w niektórych miejscach leżą tam kamienie zebrane w kupki, a miejscami znajdują się ułamki naczyń glinianych, ręcznie lepionych, roboty grubej i bardzo pierwotnej.

„Wały mniejsze" leżą o parę kilometrów na północ od opisanych i występują także na lekkiej wyniosłości wśród zarośli leśnych. Budowa ich jest bardzo podobna do opisanych „Wałów wielkich", z tą tylko różnicą, że niema tu wału trzeciego, wskutek czego, sama przestrzeń okopami tymi zajęta jest mniejsza.

Pod nazwą „Rozbitej mogiły" znane jest miejsce, leżące w południowej stronie Kociubińczyk. Już w odległości kilku kilometrów

od tego miejsca widać na horyzoncie, wysoko wznoszącą się sinawą masę ziemną o szerokiej podstawie, z wierzchołkiem, zakończonym stożkowato. Z odległości bliższej kształt tego zabytku nieco się zmienia i przybiera postać jakiejś wielkiej mogiły stożkowatej, otoczonej mnóstwem mogiłek drobnych, stanowiących niby jej części. Zewnętrzny ten wygląd zabytku stał się powodem utworzenia nazwy ludowej „Rozbita mogiła“, jaką się ona istotnie z daleka przedstawia. Wydostawszy się jednak na to miejsce, znajdujemy zupełnie inny stan rzeczy. Od północnego jej brzegu wznosi się najwyższa i najobszerniejsza masa nasypu ziemnego, mająca kształt istotnie podobny do kurhanu niezupełnie okrągłego i o spadku zbyt stromym. Przy nasypie tym, od strony jego południowej, następują liczne większe i mniejsze wały, przechodzące w rozmaitych prostoliniowych i powyginanych kierunkach, przedzielone między sobą półokrągłemi i wydłużonemi zagłębieniami. Wszystkie te wały mniejsze, dla patrzącego na nie z dołu, u stóp tego zabytku, wydają się kopcami o kształtach okrągłych.

Przestrzeń zajęta wszystkimi tymi nasypami w kierunku od północy ku południowi wynosi 120—130 m., a od wschodu ku zachodowi jest o 10 tylko metrów mniejsza.

Jak nadmieniliśmy, obwałowania w Kolendzianach i Kocinbińczykach za małe są, by mogły służyć jako miejsca obronne przed nieprzyjacielem, a najwidoczniej sięgają bardzo odległej epoki, różniąc się kształtami swymi od innych tego rodzaju budowli ziemnych w kraju naszym. Przeważna bowiem część ich odmienna jest w założeniu, stanowiąc najczęściej kształt elipsowaty, wydłużony. Większość tych horodyszcz, to pamiątki z końca doby przedhistorycznej, lub resztki grodów, których mnóstwo zmiótł najazd Batuchana i następne napady dziczy tatarskiej od VIII. wieku począwszy.

Miejsca pod warownie takie obierano w okolicach górzystych, pagórkowatych lub przerżniętych dolinami głębokiemi, do których z natury przystęp był utrudniony, bo przez to praca obwarowania znacznie już była utrudniona; człowiek nie potrzebował mozolnie ubezpieczać się z każdej strony. Wystarczało obwarowanie jednej lub dwu, a do tego nadawały się wszystkie grzbiety gór lub wyskakujące w kształcie języka, albo pod kątem, odnóża górskie o stromych brzegach wysokich, nad wodami i jarami głębokimi. Na takich miejscach najliczniejsze właśnie znajdujemy horodyszcza. Gdzie okolica była płaska, stawiano grody na wyspach jezior.

wśród moczarów, przy spławach rzek, by w ten sposób utrudnić nieprzyjacielowi przystęp.

Ze środków sztucznych broniących gród, najważniejszym był wał. Wielkość jego, wysokość, długość zależała od terenu i potrzeby. Często z strony, z której dostęp był najłatwiejszy, wznosił się on podwójnie, potrójnie i t. d. W ścisłym związku z wałem i wielkością j go pozostawał rów, zawsze od strony zewnętrznej, a tem głębszy i szerszy, im potężniejszy był sam wał. Dostępu do wnętrza umożliwiały bramy (wrota), bronione zwykle drewnianą wieżą zamykalną. Mostów zwodzonych nie znano, tylko stałe i tem tłumaczy się, dla czego przy oblężeniach (jak o tem mowa w kronikach) główny atak przypuszczono do bram. Sam bowiem wał ujęty był nadto w osłonę drewnianą, przez co tworzono ścianę prostopadłą, a powtóre zapobiegano, by ziemia usuwając się nie zasypywała rowu, a tem samem nie obniżała nasypu. Sciana zewnętrzna od rowu przechodziła zwykle jego wysokość, tak, aby stający na wale wojownicy bezpieczną mieli zasłonę. Kroniki wspominają nadto o częstokole (ostrog) t. j. w ziemię wbitych palach, lecz te same tylko ze względu, że łatwo mogły być spalone, nie wystarczały do obrony dłuższej, zwłaszcza gdy teren był więcej otwarty.

Obok tych właściwości, wspólnych wszystkim niemal horodyszczom na ziemiach słowiańskich, każdy gród nie stanowił jednolitej całości, lecz kilka posiadał części. Składał się zatem z wewnętrznego grodu, z przytykającego doń zewnętrznego grodu, tudzież z dolnego przygrodzia, obwarowanego ostrokołem. Najważniejszą i najbardziej warowną częścią każdego takiego grodu było jego wnętrze (dietyniec), w którym zawsze prawie stał dwór księcia, główna cerkiew i nieliczne domy mieszkalne. Przytykająca doń bezpośrednio od strony dostępnej część tworzyła przodowe wzmocnienie grodu, u stóp góry zaś zwykle rozciągało się przymieście.

Od znaczenia i ważności grodu zależała wielkość jego. Sam jednak gród właściwy i przyległe mu przygrodzie nigdy wielkich nie przechodziły rozmiarów już dla względów skuteczniejszej obrony. Podgrodzie za to, zwykle nie warowne albo samą otoczone palisadą, często na szerokiej rozciągało się przestrzeni z swymi drewnianymi domami, cerkwiami, targowiskami i t. p. Tu też skupiało się całe publiczne, handlowe i przemysłowe życie miasta. W razie zaś niebezpieczeństwa ludność podgrodzia zostawiała takowe na łaskę losu, a sama przenosiła się do górnego, warownego grodu.

W historyi grodów jest wogóle zjawiskiem zwykłem, że gdy gród jaki wskutek klęsk opustoszał we wszystkich swych częściach, ginęła często nazwa jego i dla wieków potomnych pozostawały tylko nieme ślady obronnego „horodyszcza“. Gdy jedynie górna część grodu wyludniła się, nazwa jego przenosiła się na leżące u stóp podgrodzie, które jako osada samoistna do naszych przetrwało czasów. Gdy gród natomiast na inne przeniósł się miejsce razem z nazwą, pozostawało po nim horodyszcze opuszczone albo powstawała na takowem nowa osada, która przybierała często nazwę jednej z części składowych starego grodu jak: gródek, horodok, przygródek, przygrodzie, a najczęściej podgrodzie i tem tłumaczy się mnogość osad o nazwie podobnej. [1])

Opuszczonych horodyszcz jest bardzo wiele u nas, a najsławniejsze są: w Horodnicy nad Dniestrem, w Bilczu złotem, w Haliczu, Podhorcach, Czechach, Wysocku i t. d. W okolicach Lwowa najwspanialej przedstawia się horodyszcze w Rokitnie; prócz tego znane są w sąsiedztwie w Grzybowicach, Zawadowie, Domażyrze, Dźwinogrodzie, Podhorodyszczu, w Gródku, Tarnowie i t. d.

Badań wykopaliskowych nie przeprowadzano dotychczas systematycznie na obszarze horodyszcz u nas, ale z rozkopów próbnych wychodziło najczęściej, iż pochodzą one z końca doby przedhistorycznej i początku czasów historycznych, chociaż nie brak dowodów, wskazujących, iż w niektórych wypadkach sięgają nawet epoki kamiennej. Naogół jednak są one stosunkowo nie stare, ale o tyle nam droższe, iż bezsprzecznie dziełem są rąk przodków naszych słowiańskich.

VI. Figury «bab» kamiennych. [2])

W najrozmaitszy sposób wyjaśniano znaczenie starożytnych figur kamiennych, t. zw. przez lud „bab“, rozsianych w południowo-wschodniej części Europy, tudzież przez środek Azyi. Najpopularniejsze było przypuszczenie, przypisujące stawianie „bab kamiennych“ Scytom; równocześnie prawie powstała hypoteza t. zw. wę-

---

[1]) Czołowski Al. dr. O położeniu starego Halicza. Lwów 1890 r.

[2]) Demetrykiewicz Wł. dr. Figury kamienne t. zw. „bab“ w Azyi i Europie. Sprawozdanie Akad. Umiej. Wydz. filolog. Kraków 1910 lipiec.

gierska, usiłująca znaczną część figur w połudn. Rosyi odnieść do wędrówek Węgrów. Głośną również była teorya t. zw. gocka, która wyłoniła się w Hiszpanii pod wpływem wykopalisk w okolicy Walencyi, a następnie znalazła silne poparcie uczonych niemieckich; wiązała ona z wędrówkami Gotów figury w południowej Rosyi, oraz rzekomo im pokrewne posągi w Hiszpanii, upadła zaś z chwilą, kiedy nauka wykazała, iż posągi hiszpańskie są pochodzenia jeszcze grecko-fenickiego. Wreszcie szereg uczonych, głównie niemieckich, pragnie przypisać Słowianom figury kamienne, skupione nad Bałtykiem w okolicach Królewca i Gdańska oraz na Rugii i w Bawaryi.

Odkrycie w głębi Azyi środkowej wspaniałych grobowców z licznemi figurami oraz napisami nad Orchonem w Mongolii rzuciło bardzo wiele światła na kwestyę pochodzenia „bab kamiennych". Obszar, znany z „bab" takich, zaczyna się w Azyi na południe od jeziora Bajkalskiego, w półn. Chinach i ciągnie się pasem przez środek Azyi ku Kaukazowi, a następnie w Europie dochodzi aż do Wirtembergii. Na przestrzeni tej da się rozróżnić ośm wybitniejszych odmian tych posągów, z których prawie każda ma właściwy sobie obszar, na którym powstała lub też najwięcej się rozwinęła. Cztery z tych odmian przypada na Azyę, a cztery na Europę. W Azyi wszystkie rodzaje figur przedstawiają przeważnie postać męską i mają stwierdzony związek z grobowcami. W Europie dotąd tylko przy niektórych odmianach „bab" przekonano się, że stały przy grobach. Groby, przy których figury takie stawiano w Azyi, miały formę nasypów okrągłych lub czworobocznych, częściej kamiennych, niż ziemnych. Nasypy te, zwłaszcza czworoboczne, były obstawiane nieraz na krawędzi kamieniami pionowymi w jeden lub kilka rzędów. Na środku takiego nasypu grobowcowego lub przy jednej jego krawędzi, umieszczano kamień długi, pionowo ustawiony, który pierwotnie był zwykłym głazem lub słupem, a później dopiero zaczęto go opatrywać znakami różnymi, zwłaszcza t. zw. *tamga*, znakami własności, podobnymi do liter alfabetu runicznego; później opatrywano go rysunkami zwierząt, twarzy ludzkiej, a następnie nadawać mu poczęto sylwetę ogólną, coraz bardziej zbliżoną do postaci ludzkiej, mniej lub więcej wykończonej.

Płyty z samymi znakami takimi znane były dotychczas jedynie z głębi Azyi. Szczęśliwym jednak trafem udało mi się zbadać i opisać analogiczny zupełnie zabytek i u nas we wsi Zazdrości w pow. trembowelskim.

Dzięki pomocy łaskawej dra J. Brudzińskiego z Mikuliniec, miałem sposobność w sierpniu 1906 r. zbadać olbrzymi kamień z zagadkowymi znakami, który jeszcze przed kilkunastu laty zauważył w ziemi wieśniak, orzący w tem miejscu. W stepach Pantalichy, na niwie „Szlachetczyzna“, na gruntach wsi Zazdrości (pow. Trembowla), leżał kamień ten długi czas, tylko nieco odsłonięty, tak, że nie było na nim całkiem widać znaków wyrytych. Zainteresowanie się nim było wielkie choćby z tego powodu, iż w najbliższej okolicy niema całkiem kamieni, a ten właśnie, jak się domyślać można było, dochodził bardzo wielkich rozmiarów. Starosta ówczesny, ś. p. L. Kruszyński, amator zabytków i wykopalisk, kazał w zimie 1904 r. w październiku odkopać kamień cały i przewieźć go na umyślnie w tym celu sporządzonych saniach do wsi. Ośmnaście koni przewiozło olbrzymi ciężar do wsi, przyczem trafiło się, że po drodze pękły sanie i dopiero po ściągnięciu ich obręczami żelaznymi przewieziono głaz przed cerkiew. Olbrzymi monolit stał się odrazu podziwem włościan, którzy dorobili doń zaraz podanie o olbrzymach, co przynieść go mieli z nad rzeki, oddalonej stąd jakich ośm kilometrów, gdzie można dopiero zdobyć kamień. Dlatego jest też on w wielkiem poszanowaniu, a nawet aż zbytnio ceniony, bo na propozycyę zakupienia kamienia do Muzeum Nacyonalnego dowiedział się metropolita ks. A. Szeptycki, iż gmina ceni go aż na kilkanaście tysięcy! Podobnie powiodło się i Muzeum Podolskiemu w Tarnopolu.

W miejscu, gdzie głaz tkwił w ziemi, było do niedawna jeszcze bagnisko i tej właśnie okoliczności zawdzięcza on doskonałe swe zakonserwowanie bez najmniejszego nawet uszkodzenia. Długość wynosi prawie $5^1/_2$ m., szerokość przy jednym końcu 1·21 m., przy drugim tylko 1 m. Grubość różna w różnych miejscach i wogóle wynosi od 18 do 100 cm. Od połowy długości zwęża się nieznacznie ku górze, a w najwęższem miejscu jest także najcieńszy, bo tylko 18 cm. Że był to jego wierzchołek, widać z tego, iż 1·85 m. z góry jest wyrównany z przodu i z jednego boku, kiedy przeciwnie, większa część dolna, która tkwiła w ziemi, kiedy wznosił się jeszcze prosto, całkiem jest niewygładzona i nierówna. Z prawego boku, gdzie jest umieszczony znak jeden, kamień 1·85 z góry jest również wyrównany i dlatego wygląda jakby wycięty w całości bryły.

Na wyrównanych ścianach, z przodu i prawego boku, widać wykute trzy znaki, wszystkie zachowane doskonale, a najlepiej już jeden na bocznej płaszczyźnie; w zarysie jego można nieomal po-

liczyć uderzenia wszystkie dłuta rzeźbiarza. W przekroju linie wykute są półokrągłe, $^1/_2$ cm. głębokie. a prawie 1 cm. szerokie. Znak pierwszy i drugi umieszczone na przedniej, a trzeci na bocznej ścianie prawej. Pierwszy, wysunięty nieco na prawo, największy ze wszystkich, bo 40 cm., drugi u dołu pierwszego, więcej na lewo wysunięty, już tylko $24^1/_4$ cm., a trzeci, najmniejszy. jest tylko $6^1/_2$ cm. wysoki.

Pierwszy, długości 40 cm., przypomina dwa elipsowate, połączone ze sobą proste kółka, z których górne o większej średnicy, widocznie otwarte, a obydwa końce jego odchylone, jeden wprzód, drugi ku środkowi. Dolne kółko, jakby spłaszczone, ma w średnicy 16 cm. Część jego niewyraźnie występuje w kamieniu i dlatego uważać go można za zamknięte lub otwarte. Prosta, łącząca dwa koła, długa jest 9 cm.

Drugi znak, mniejszy od poprzedniego, wysoki $24^1/_4$ cm., złożony jest również z dwóch mniejwięcej kolistych linij. Część górna tworzy koło, przerwane u góry, z końcami wygiętymi od środka, i przypomina kształtem swym podkowę. Średnica jego wynosi 9 cm., a linia, łącząca go z częścią dolną, długa 7 cm. Dolna ta część średnicy 19 cm., podobna do przewróconej litery C.

Trzeci wreszcie znak, zachowany najlepiej, jest najmniejszy i podobny całkowicie do odwróconeî na bok litery K, 14 centym. długi.

Na pierwszy rzut oka uderzają znaki te swoimi kształtami kolistymi, a wogóle linią krzywą, połączoną w każdym linią prostą; trzeci tylko ma dwa końce ostre. ale i jemu nie brak krzywych. Forma ich wskazuje na pewne znaczenie określone, bo w przeciwnym razie rzeźbiarz kułby raczej proste całkiem. niż trudniejsze do wykucia w kamieniu linie zawijane.

Przy wydobywaniu głazu z ziemi natrafiono na kości i czerepy naczynia glinianego, wyrobionego już na krążku garncarskim, ale bez ornamentacyi. Kości określono w laboratoryum anatomii porównawczej prof. Hoyer'a w Krakowie, jako szczątki dwóch baranów; kości barana lub owcy znajduje się też zawsze w towarzystwie kamieni podobnych w Azyi. Zdaniem prof. dra Włodzimierza Demetrykiewicza, kamień z Zazdrości należy do grupy „bab kamiennych“, a znaki, wyryte na nim. są to t. zw. tamga, staroturkskie znaki własności, analogiczne całkiem do znanych już dawniej z Azyi środkowej. W ten sposób zabytek nasz jest jedynym tego okazem w całej Europie. stanowiąc z tego powodu cenną nadzwyczaj pamiątkę wieków minionych.

W Europie najdalej ku wschodowi wysuniętą jest grupa „bab kamiennych“ na północnym Kaukazie. Są to posągi wyłącznie męskie, przedstawiające postacie wojowników, prawie zawsze z takiem samem ułożeniem rąk, co u figur w Turkestanie i z uzbrojeniem podobnem. Czasem wyjątkowo ręce założone są za pas. Zwyczajnie zaś prawica trzyma kielich lub róg, a lewa ręka opuszczona. Na piersiach znać nieraz pancerz lub misiurkę żelazną, na głowie hełm półkulisty lub zlekka stożkowaty. Najważniejszą i najcharakterystyczniejszą cechą tej grupy figur jest to, że kilka z nich ma na sobie wyraźne znaki krzyża chrześciańskiego równoramiennego, a to na hełmie, na piersiach, na szyi lub ramionach. Jedna z figur takich ma od przodu napis krótki głoskami grecko-bizantyńskiemi i pochodzi z pierwszej połowy XII. w.; mniej więcej z tego samego czasu lub z wieku XI. pochodzić się zdają i inne figury, odkryte na Kaukazie.

Bezpośrednio z grupą kaukaską wiąże się grupa „bab kamiennych“ południowej Rosyi, liczebnie bardzo obfita, rozsiana głównie nad Donem i Dnieprem, a przeciągająca się aż na Wołyń, Podole i do Galicyi wschodniej. Figury tych okolic wykonane są przeważnie z kamienia miękkiego, a przeważają wśród nich postacie kobiece; męskie zbliżone w najogólniejszym zarysie do posągów grupy turkestańskiej, mają na głowie czapkę półkulistą lub hełm, czasem ślad zarostu, a nadto zwykle broń u pasa w formie krzywej szabli na dwu rzemieniach. Zarówno męskie, jak i kobiece figury tej grupy opatrzone są warkoczami, spadającymi na plecy. Wszystkie owe posągi, stojące i siedzące, trzymają przed sobą w rękach złożonych przedmiot, który najczęściej widocznie wyobraża naczynie, ale czasem także bywa podobny do płaskiej, jakby szkatułki.

Figury bab kamiennych Rosyi południowej stały na kurhanach; grób zawiera zwykle szkielet ludzki w towarzystwie końskiego z uprzężą, oraz broń u mężczyzny. Mamy wyraźne świadectwo historyczne mnicha Rubruquisa, wysłannika francuskiego króla Ludwika IX. do „Wielkiego Chana“ z r. 1253 o zwyczaju stawiania tych „bab kamiennych“ na mogiłach Rosyi południowej. Przypisuje on wyraźnie figury te t. zw. Kumanom, ówczesnym koczownikom turkskiego szczepu na obszarach Rosyi południowej.

Osobną grupę „bab“ w Europie stanowią zagadkowe figury, odznaczające się większą, nienaturalną liczbą członków, t. j. głów, twarzy, rąk lub nóg. Do takich należy przedewszystkiem znaleziony u nas w 1848 r. w Zbruczu posąg t. zw. Światowida, stanowiący nadzwyczajny cenny zabytek naszej przeszłości.

Gdy wskutek długiej posuchy woda w Zbruczu znacznie się zniżyła, pobliscy strażnicy skarbowi dostrzegli czapkę, wystającą ponad wodę. W mniemaniu, że to była czapka topielca, podpłynęli na to miejsce i z zadziwieniem dostrzegli, że była z kamienia i że poniżej znajdowała się głowa i dalsze części figury kamiennej. Skoro doniesiono o tem do dworu, obecny wtedy tam inżynier K. Bieńkowski oraz rządca pospieszyli na miejsce i zajęli się wydobyciem kamienia z wody. Zarzucono więc mocne powrozy i przy pomocy trzech par wołów wyciągnięto słup na brzeg z odłamaną podstawą.

Właściciel Liczkowiec odstąpił posąg konserwatorowi M. Potockiemu, a ten ofiarował go krakowskiemu Towarzystwu Naukowemu, które delegowało na miejsce znalezienia T. Żebrawskiego. W 1851 r. przewieziony został do Krakowa, gdzie umieszczony został w muzeum Tow-a, dziś Akademi Umiejętności. Odlewy tego posągu, wykonane przez Edw. Stehlika, znajdują się we Wiedniu, Berlinie, Wilnie i Lwowie (Muz. im. Lubomirskich).

Posąg ten, jest to czworoboczna bryła miejscowego twardego kamienia wapiennego w połączeniu z ziemią krzemienistą. Cała kolumna, wysoka 2·70 m., pokryta jest z czterech stron rzeźbami, rozmieszczonemi piętrowo, a oddzielonemi od siebie szerokimi gzemsami. Dolna część, 63 cm. wysoka, przedstawia w płaskorzeźbie na trzech ścianach klęczące postacie męskie, które rękami podniesionemi jakby podpierały resztę słupa. Czwarte pole czworoboczne nie posiada rzeźby; być może, że słup był tem polem oparty o jaki kamień, złączony z większą podstawą całego posągu. Środkowe piętro, oddzielone od dolnego samym gzemsem, 46 cm. wysokie, posiada na czterech polach po jednej figurze z stosunkowo wielką głową i długą, aż do kolan sięgającą suknią. Cztery te figurki podają sobie w rogach słupa ręce, obejmując go jakby kołem tanecznem; dwie z nich, sądząc po wyraźnie oddanych piersiach, są niewieście. Trzecie piętro górne, 161 cm. wysokie, a zatem więcej jak połowę wysokości całego słupa zajmujące, stanowi główną część posągu. Widzimy tu więc figurę męską z wielkim mieczem u pasa, którą charakteryzuje jako wojownika koń, przedstawiony na tej samej płaszczyźnie rzeźby. Druga figura, oddana na sąsiedniej płaszczyźnie jest niewieścia, jak na to wskazują uwydatnione piersi; przy piersi przytrzymuje ona prawą ręką róg formy pierwotnej. Na następnej ścianie posągu widać również niewieścią figurę, trzymającą w prawej dłoni podniesionej do piersi małą czarę, zwróconą stroną wgłębioną do widza. Czwarta figura przypomina

układem rąk, z których prawa spoczywa na piersi, lewa na brzuchu, postać rycerską pierwszą, a także płeć jej wskutek braku wybitnych piersi, zdaje się być męska. Miecz wspomniany, znany z licznych okazów, znalezionych w grobach Rosyi południowej i Węgier północnych, kształtami swymi wskazuje, iż figura pochodzi z epoki po wędrówkach ludów, najprędzej z IX. w. po Chr. Zarzuty przeciw autentyczności słupa ze Zbrucza pochodziły wyłącznie od badaczy nieobeznanych dokładnie z archeologią przedhistoryczną albo też od niearcheologów.

Podobny słup inny odkryto i zniszczono w r. 1875 koło Husiatyna na Podolu rosyjskiem, a więc w pobliżu, gdzie znaleziony został nasz w Zbruczu. Trzeci okaz wyłowiono około 1850 r. w rzece Lipicy pod wsią Łopuszną (pow. Rohatyn). Figura ta, nazwana „Światowidem“, przedstawiać miała postać o czterech twarzach i tyluż nogach, okrągło kutych; ksiądz miejscowy kazał ją jednak, jako zabytek pogański przekuć na krzyż, który do dzisiaj oglądać można we wsi, ustawiony na zachowanej podstawie z czterema nogami.

Wszystkie figury „bab kamiennych“ różnego rodzaju, znalezione nie tylko w samej Europie wschodniej, ale wogóle na całym obszarze, dokąd tylko dochodzić mogły zagony ludów turkskich w ciągu IX—XI. w., przypisać należy w pierwszym rzędzie tymże ludom, a dopiero potem można ewentualnie niektóre z nich przyznać także innym ludom t. j. takim, które w owych czasach miały styczność bliższą ze Wschodem, a zwłaszcza, które zostawały pod bliższym wpływem ludów turkskich. Z tego punktu widzenia należałoby słup ze Zbrucza odnieść w pierwszym rzędzie i bezpośrednio do ludów turkskich, wobec czego uważanie go za słowiańskiego „Światowida“ jest bardzo wątpliwe i mylne. Zresztą badania dalsze nad „babami kamiennemi“, prowadzone przez prof. Wł. Demetrykiewicza, wyjaśnią zapewne i znaczenie owego cennego zabytku.

Bohdan Janusz.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Prenumerata wynosi: w cesarstwie austryackiem rocznie **8** K, półrocznie **4** K, ćwierćrocznie **2** K, w granicach Niemiec rocznie **3** talary, półrocznie **1$^1/_2$** talara, którą prosimy nadsyłać (najdogodniej przekazem pocztowym) pod adresem: **Administracya „Gazety Lwowskiej“.**

Cena księgarska (główny skład w Galicyi w księgarni Gubrynowicza i Syna) za rocznik czyli 1 tom **10** K, za pół roku **5** K, za ćwierć roku **2** K **50** h, za zeszyt **1** K.

Prenumeratorowie „Gazety Lwowskiej“, którzy uiszczą przedpłatę na „Gazetę“ z góry za cały rok (od 1 stycznia) lub za pół roku (od 1 stycznia lub od 1 lipca) otrzymają „Przewodnik“ bezpłatnie, zaś prenumeratorowie ćwierćroczni i miesięczni na żądanie za dopłatą pierwsi **1** K **50** h na kwartał, drudzy **60** h za zeszyt.
